

Paweł Jasienica

Rozważania o wojnie domowej

ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ

Strome uliczki wiodą w mieście Pouzauges do zamku, droga na jego dawny podwórzec zanurza się na chwilę w cień bramy wyciętej w podstawie wysokiego graniastosłupa wieży, jedyne zresztą fragmentu obwarowań, który w stanie znośnym doczekał XX stulecia. Dziesięciu okrągłym basztom, okalającym twierdzę, powiodło się gorzej, przetrwały już tylko ich obrosłe pnączami kikuty.

Bastiony zdążyły się rozsypać, dziedziniec zaś przemienić w piękny park, zaśmiecony równie starannie, jak i wiele innych, znacznie sławniejszych i bardziej reprezentacyjnych miejscowości słodkiej Francji, Ustawione między drzewami bariery świadczą, że terytorium tym włada obecnie tutejszy klub jeździecki. Ani jednego kawalerzysty nie widać, pieszych brak także — bezludzie i cisza, pogłębiana stłumionym dźwiękiem dzwonu siedemsetletniego kościoła św. Jakuba, któryśmy przed chwilą oglądali w śródmieściu.

Trafiliśmy do Pouzauges w niedzielne południe. Może dlatego zatem tak pusto było na zamku, rojno zaś na rynku, w pobliżu kościoła? Jesteśmy w Wandei. Statystyki pouczają, że osiemdziesiąt procent mieszkańców tego departamentu to katolicy praktykujący. Parę godzin wcześniej natknęliśmy się w pewnej wiosce na przeszkodę oryginalnej natury. Zatarasował nam drogę pochód, wysuwający się z szeroko otwartych drzwi kościelnych. Najpierw szły dzieci — grzecznie, parami, pod opieką zakonnicy. Potem kroczył ksiądz w komży i stule, za nim rosły młodzian w asyście dwóch dziewoi o typie raczej nadwiślańskim niósł potężny wieniec. Dalej płynął górą “tricolore” i dopiero posunęła uroczystym marszem cała chyba, krzepiąco liczna parafia. Ani jedna postać nie miała wyglądu urzędowego, sami wieśniacy przystrojeni po niedzielnemu.

Staliśmy, wygasiwszy motor, bo pamiątkowy krzyż, pod którym ów wieniec miał zostać złożony, widniał tuż po drugiej stronie asfaltu i nic nie wróżyło rychłego odblokowania szosy. Z kolumny wysunął się jednak jakiś człowiek, ruchem ramienia pokazał, którądy można objechać.

Spatynowana już poniekąd tradycja karczyńska wytworzyła w tym kraju obyczaje, gdzie indziej dotychczas jeszcze nie odkryte. Pobożni parafianie z okolic Cerizay, którym nikt nie mógł urzędowo nakazać udziału w religijno-patriotycznej procesji, nie cieszyli się widać z pułapki, w jaką popadli tacy, co w porze nabożeństwa uganiają samochodem i nie zwracają uwagi na lokalne wprawdzie, lecz i narodowe zarazem rocznice. Czyżby aż nawyk

tolerancyjnego traktowania postaw, zapatrywań i postępowania innych ludzi? Zabobonny lęk ogarnia przy wspominaniu o tego rodzaju zjawiskach. Aby tylko w złą godzinę nie powiedzieć, nie urzec...

Namówilem towarzyszy podróży do odwiedzenia Pouzau-ges, ponieważ z nieodpartej potrzeby wewnętrznej zabrałem się do tropienia w Wandei pamiątek po tych czasach, w których i we Francji ze zdumiewającą doprawdy stanowczością próbowano szczegółowo uregulować mechanizm historii i naturę ludzką. Pewien rozczarowany filozof streścił wzmiankowaną w poprzednim zdaniu tendencję w sposób ważny dla wszystkich chyba narodów i czasów: “Bądź moim bratem albo cię zabiję” — szydził. Źle skończył mądry Chamfort. Próba samobójstwa nie powiodła mu się, lecz zmarł wkrótce z zadanych sobie samemu okaleczeń.

Jest o czym rozmyślać i opowiadać wśród ruin zamku w Pouzauges. Pięćset z okładem lat temu był tutaj panem marszałek królestwa, Gilles de Rais, początkowo towarzysz broni Joanny d’Arc, potem główny we Francji wasal szatana. Nie wiem, czy prowadzono jakie badania pod murami Pouzauges. W fosach pobliskiego Tiffauges, gdzie się znajdowała główna siedziba marszałka, odnaleźli kopacze znaczną podobno ilość kości dziecięcych, noszących ślady zadanych na żywo tortur. Gilles de Rais próbował uzyskiwać złoto, składając diabłu w ofierze serca, krew, oczy i ramiona odznaczających się urodą młodzieniaszków. Uwięziony w Machecoul — znanym dzisiaj z produkcji godnej polecenia brandy “Seguin” — stracony został publicznie 26 października 1440 roku w Nantes. Skrucza, jaką wykazał, sprawiła, że powieszono go tylko, przestając na spalaniu trupa.

Jednakże to nie czarnoksiężskie tradycje wydały mi się najbardziej godne uwagi w Pouzauges. Właściwym magnesem był dla mnie niezbyt wysoki krzyż kamienny, wznoszący się w parku, zaraz na lewo od bramy wjazdowej. Na podstawie jego, noszącej formę trzech ustawionych na sobie pionowo walców, widnieje następujący napis : “Souvenez vous de ceux qui donnèrent leur vie pour Dieu et leur pays”.

Dziwna ogólnikowość, dziwna anonimowość w tym kraju, gdzie w każdym chyba kościele oglądać można kamienne tablice z dziesiątkami, z setkami nazwisk poległych w obronie ojczyzny żołnierzy-parafian. Na południu Masywu Centralnego, w pępnej krainie Causses, niedaleko słynnej jaskini Aven-Armand, wśród krajobrazu przypominającego miejscami spopularyzowane dzisiaj zdjęcia powierzchni Księżyca, widziałem pomnik ofiar pewnej bitwy partyzanckiej i spowodowanej przez nią pacyfikacji regionu. Litania nazwisk o brzmieniu francuskim oczywiście, lecz także i hiszpańskim.

Krzyż w Pouzauges stoi na miejscu zbiorowej egzekucji. Jedna z rewolucyjnych

“kolumn piekielnych” rozstrzelała tutaj pięćdziesięciu powstańców wandejskich. Także pacyfikacja zatem, tyle że znacznie wcześniejsza. Daty na krzyżu brak, ale to musiało się odbyć w roku 1794, w końcu zimy lub na przedwiośniu.

Z oryginalnie wyzyskanymi wspominkami o tej epoce zetknęliśmy się już poprzedniego wieczoru w Parthenay, położonym na samym pograniczu “Wandei wojennej”, znacznie obszerniejszej od dzisiejszego departamentu. Na karcie menu, którą nam podał patron restauracji, widniały informacje pozostające w pośrednim jedynie, przywabiającym niejako związku z zaletami kuchni i piwnic miejscowych. Oczekując, bardzo zresztą krótko, na przystawki, można było się dowiedzieć, jak sobie w okolicach Parthenay lub w nim samym poczynał lat temu sto kilkadziesiąt “biały” de Lescure i jak na to reagował “błękitny” Westermann.

I tak oto zwyczajna karta restauracyjna popycha od razu na właściwą drogę, skłania do rozmyślenia nie tylko o problemach i strukturach, lecz także — a może przede wszystkim! — o ludziach, o ich losach nieraz bardzo z pozoru odległych od jakiegokolwiek logiki. , Dwudziestosiedmioletni, pobożny, stateczny, zadziwiająco zrównoważony markiz Ludwik Maria de Lescure pewnej nocy jesiennej skończył z ran w furgonie pobitej, na szalone rzeczy porywającej się armii powstańczej. Pokaleczony okropnie, wyzionął ducha tak spokojnie i cicho, że jadąca konno tuż przy wozie małżonka niczego nie zauważyła. Rewolucjonista z krwi i kości, nie znający miłosierdzia generał Franciszek Józef Westermann w kilka miesięcy po swych wandejskich wysiłkach i przewagach zakończył żywot w Paryżu, pod nożem gilotyny. O niepełne dwa lata wcześniej szturmował on tam wraz z san-kiulotami Tuilerie.

Ależ działał tu w Wandei, wielką sławę zdobył i taki, co się poprzednio z trudem wymknął spod tejże gilotyny: legendarny Franciszek Seweryn Marceau, dowódca Legionu Germańskiego, w którym obok Niemców służyli Polacy, Włosi, Szwajcarzy, rozmaici słowem entuzjaści ideałów “równości, wolności, braterstwa”. Innym jednakże, chwalebna zasada rewolucyjnej czujności przejętym wyznawcom tych samych haseł nie wystarczyło widać męstwo i poświęcenie, którymi się Marceau był już popisał podczas obrony Verdun przed Prusakami. Oskarżyli go o zdradę, zamknęli, uparcie żądali kary śmierci. Ułaskawiony szczęśliwie, w maju przybył Marceau do Wandei, traktował powstańców ludzko i w tym samym jeszcze 1793 roku zadał im decydujące klęski w polu. W trzy lata później zmarł z ran odniesionych na wschodnim froncie, w bitwie pod Altenkirchen. Wódz austriacki, arcyksiążę Karol, osobiście złożył hołd zwłokom rewolucyjnego generała, który za króla osiągnął sam szczyt kariery wojskowej dostępnej mieszczaninowi: był wachmistrzem kirasjerów.

Wątpić wolno, czy za króla sam Napoleon Bonaparte miałby zapewnione coś więcej

niż stopień kapitana. Od kandydata na oficera żądało się wylegitymowania z czterech pokoleń szlachectwa. Taki próg mógł, owszem, przekroczyć człowiek, którego dziad zaledwie wyjednał u księcia tokańskiego dokument stwierdzający przynależność rodziny do herbowych. Ale najwyższe stopnie zarezerwowane były w armii monarszej dla dziedziców o wiele wspanialszych patentów.

Rewolucja zmiotła te przegrody. Mówi się słusznie, że zapewniła ona awans mieszczaństwu. Ówczesni publicyści wywodzili otwarcie, iż dobrym obywatelem może być tylko człowiek zamożny. Wszystko to prawda, lecz wśród marszałków Napoleona byli tacy, co się wychowali w rysztołach Paryża, po cudzych stajniach lub w rodzicielskich izbach rzemieślniczych. Żadna formuła nie obejmuje bogactwa rzeczywistej historii.

Chłopi wandejscy uznali i przyjęli rewolucyjną zasadę równości wszystkich ludzi. Do udziału w swej kontrrewolucji zaprosili, moralnie przymusili poniekąd, okolicznych ziemian, dawnych oficerów Ludwika XVI. Lecz wodzem powstania wybrali jednego ze swoich, Jakuba Cathelineau, czterdziestoletniego przeszło wieśniaka z Le Pin-en-Mauges, wzorowego ojca pięciorga dzieci. To on właśnie, cnót wszelkich pełen "święty z Anjou", 10 marca 1793 roku porwał kumów do czynnej walki przeciwko wykonaniu dekretu Konwencji Narodowej o pierwszym w historii Francji i Europy powszechnym, obywatelskim poborze do wojska.

Całe państwo miało dostarczyć trzystu tysięcy rekrutów, wylosowanych spośród znacznie większej liczby poborowych. Wanda winna była dać cztery tysiące ludzi. Same represje popowstaniowe kosztowały ją bez porównania drożej, poległych w boju nie sposób zliczyć.

Wojna domowa zaczęła się w roku 1793. Dokładnie w dwadzieścia lat później pokonana armia cesarza Francuzów zaczęła ustępować z ziem niemieckich, cofać się ku własnym granicom. Kończyła się jej wielka przygoda, której scena rozciągała się od Egiptu i Portugalii po Tarutino, położone nieco na wschód od Moskwy. Po dziś dzień trwa sława epopei, lecz i to pamiętać warto, że u samego jej początku przytrafił się zbrojny, ofiarny i bardzo krwawy protest znacznej liczby Francuzów przeciwko służbie w wojsku francuskim. Niejeden z młodych Wandejczyków, co polegli w masakrach pod Cholet, Mans czy Savenay, mógłby doczekać szlif oficerskich lub generalskich nawet, Pruskiej Hławy albo Borodina i tam dopiero ducha wyzionać nie ze szkoda, lecz z pożytkiem dla ojczyzny. Historia nie grzeszy nadmiarem logiki w potocznym tego słowa znaczeniu. Posiada własną i stosuje się do niej w sposób rygorystyczny. W tym samym marcu 1793 roku poruszyli się również chłopi bretońscy. Ich także wzburzył dekret o poborze. Zgromadzeni pod swymi prastarymi kalwariami, protestowali w imieniu prawa. Akt zjednoczenia Bretanii z królestwem Francji —

ogłoszony w roku 1532 za Franciszka I — stanowił, iż żaden z mieszkańców księstwa nie może bez własnej zgody być pociągnięty do służby poza jego granicami.

Zgromadzenie Konstytucyjne skasowało te omszałe przepisy i już w styczniu 1790 roku podzieliło Francję na osiemdziesiąt trzy departamenty. Postanowienie to liczyło sobie jednak trzy lata zaledwie, wspomniany zaś akt unii... dwieście sześćdziesiąt jeden. Zbyt lekko potraktowano wymowę tych oraz wielu innych, całkiem realnych faktów. Swoista logika historii została poważnie obrażona.

Badacze naukowci odrzucili stare, zacietrzewione poglądy, przestali uważać powstanie za skutek machinacji niezaprzyję-żonych księży oraz monarchistycznej szlachty. Uznali je za dzieło rzetelnie ludowe. W nieodparty sposób przemawia statystyka. Połowa wyroków śmierci wydanych w dobie Terroru odnosiła się do Wandei i Bretanii. Dwa procent ofiar należało do szlachty i tyleż do kleru, sześć procent do mieszczaństwa. Czterdzieści osiem procent skazanych to chłopci, czterdzieści jeden — rzemieślnicy i proletariat.

Lud na pewno przeważał, lecz po niewłaściwej stronie.

Napoleon, komentując proklamowane przez rewolucję hasło równości, stwierdził, że “wojska wandejskie same były podbite przez tę wielką, zwyciężającą we Francji zasadę, przeciwko której walczyły każdego dnia”.

Czyniły to przy tym w sposób, który zaskoczył wszystkich. “Niechże powiedzą generałowie, którzy odbyli tę okropną wojnę wandejską, czy Prusacy, Austriacy, żołnierze ze szkoły księcia de Nassau i Fryderyka są równie straszni jak ci okrutni i nieulekli strzelcy z Bocago i Loroux?” — żalił się Turreau, niemiłosierny pacyfikator kraju.

Kontrrewolucjoniści wynaleźli metodę walki typowo rewolucyjną, jeśli termin ten oznaczać ma ludowość. Żołnierz ówczesnej armii regularnej bił się w szykach ścieśnionych, zwartych, ładował swój solidny karabin na rozkaz i na tempa. Powstaniec nacierał w luźnej tyralierze potrafił w biegu nabić flintę. Wprawny, nawykły do oszczędzania prochu kłusownik nie strzelał na oślep. Gdy błysnęły lonty mozolnie wyrychtowanych dział, roje atakujących chłopów padały na ziemię, przywierały do niej płasko. Kartacze przelatywały górą, na kanonierów zwał się rozwścieczony tłum. A jeśli przypadkiem zawiodły plebejskie chytryści i podstępny, buntownicy znikali w zgrzebnym labiryncie swej ziemi. Umiejętność wyzyskiwania terenu osiągnęła u nich szczyty doskonałości. Wierzyć się nie chce, lecz trzeba: naoczni świadkowie stwierdzali, że w przymorskim Marais objuczony strzelbą i sakwą krajan umiał lekko przesadzać o tyczce kanary szerokie na trzydzieści stóp i więcej. Dna tych wód były bagniste, brzegi grząskie.

Generał Turreau narzekał na drogi miejscowe, biegnące / w wykopach i mało co

szersze od osi wandejskiego wózka. Twierdził ponadto, że na tej glebie, jego zdaniem urodzajnej i tłustej, chwasty, wszelkie pasożyty roślinne osiągają nadnaturalną wybujałość.

Co do dróg, wiele się od tamtych czasów zmieniło, szosy są dobre. Lecz roślinność przy nich tak nieraz bujna, że trudno niekiedy obserwować z samochodu uroki krajobrazu. Zielsko obrasta pobocza niczym dodatkowy gaj.

Przewodnik turystyczny uprzedza lojalnie, że na szczycie wieży kościoła w miejscowości Saint Michel-Mont-Mercure wiedzie sto dziewięćdziesiąt siedem stopni. Warto jednak pokonać ich krętość i ciemności, wdrapać się na galeryjkę u stóp olbrzymiej figury archanioła. Świątynia stoi na szczycie wzgórza, wznoszącego się na dwieście osiemdziesiąt pięć metrów ponad poziom wcale już niedalekiego morza. Dopiero stamtąd, z wąskiego kamiennego balkonu, zobaczyć można tę samą Wan-deę, która pochłonęła, unicestwiła tyle sił zwycięskiej rewolucji.

Oglądany z tej wysokości kraj spłaszcza się, słabo znać sfałowanie ziemi. Jakby na ogromnej, plastycznej mapie widać za to fantastycznie bogatą sieć drózek, miedz zwłaszcza. Każdą z nich znaczy bowiem ciemny wałek żywopłotu, gęsto przetykanego starodrzewiem.

Każde pólko ogrodzone, zamknięte, zasłonięte. Ze zbitych pasm krzewów, przez które przedrzeć się można tylko za cenę zdartej skóry, wyrastają jeszcze częstokoły pni. Lasów w Wandei niewiele, drzew za to nieprzebrane mnóstwo.

W kilka miesięcy po zwiedzeniu St. Michel-Mont-Mercure zająłem się studiowaniem raportu generała Turreau: "Jest to kraj bardzo pocięty, chociaż nie ma dużych rzek, bardzo nierówny, aczkolwiek brak gór, i bardzo pokryty pomimo małej ilości lasów... pola są tu pootaczane mocnymi żywopłotami zasadzonymi na brzegach rowów, drzewa rosną częstokroć tak, że tworzą palisady... Jakże tu uszykować się do bitwy... skoro nierówności terenu, żywopłoty, drzewa i zarośla pokrywające powierzchnię nie pozwalają widzieć dalej niż na pięćdziesiąt kroków".

Nikt nie twierdzi, że nic się w Wandei nie zmieniło podczas najświeższych lat stu kilkudziesięciu. Znać, owszem, wielki postęp. Pouzauges zafundowało sobie elektryczność jako drugie miasto we Francji, zaraz po Paryżu. To, co dziś widać z wieży, należy pomnożyć przez dwa albo i trzy, by ocenić należycie generalskie biadania.

W biały dzień Turreau i jego ludzie nie widzieli dalej niż na pięćdziesiąt kroków. Nie mogli też wiedzieć, że skrzydła wiatraka ustawione jak krzyż św. Andrzeja sygnalizują spokój, krzyż prosty wzywa wojowników na zbiórki, pozycje pośrednie obwieszczają alarm lub jego odwołanie. Za to Wandejczycy w najciemniejszą noc radzili sobie świetnie. Oni na pamięć wiedzieli, którędy można przejść lub podleźć, znali wszystkie zakamarki i zasieki.

Byli z tego kraju, to znaczy z takiej francuskiej dzielnicy, w której i dziś jeszcze zobaczyć można strzechy.

Nad samym Atlantykiem, w Croix-de-Vie, zgiełk, zatrzęsienie ładnych aut, turyści — aczkolwiek to dopiero połowa maja. Ciekawsze było to, co się obserwowало po drodze. Im bliżej oceanu, tym więcej małych, ciasnych domostw. Drzwi i jedno okno, oto cały fronton siedziby. Ku północy, w okolicy Beauvoir, rozciągają się najsmutniejsze krajobrazy, jakie dane mi było widzieć we Francji. Gdzie się tylko ład nieco podnosi, tam ładniej. Miasto Pomic ze swym przyczajonym u wejścia do portu zamkiem — który też należał ongi do Marszałka Gilles de Rais—jest śliczne. Ale niskie tereny, wydzierane morzu od czasów Henryka IV, posępne. Zdarzają się obejścia malutkie, z zewnętrznego wyglądu nędzarskie. Ani drzewka przy nich, ani krzewu.

Wandea jest uboższa od wielu innych departamentów Francji. Tak samo było w XVIII stuleciu. Przodkowie ludzi do dzisiaj mieszkających pod strzechami podnieśli oręż przeciwko rewolucji głoszącej “wojnę pałacom, pokój chałupom”.

Francuzi z niemałym zapalem skoczyli do gardeł innym Francuzom.

Na szczycie wieży St. Michel-Mont-Mercure panie musiały oburącz przytrzymywać kapelusze, tak wiało od strony zachodniego horyzontu, który przedstawił się naszym oczom w postaci nisko i szeroko rozciągniętego pasma siwej mgły. Gdy powietrze jest bardziej przejrzyste, widać stąd pewnie Atlantyck.

Wiatr i ocean stanowiły nadzieje powstańców. Wandejczy-cy nie poprzestali na zacieklej walce we własnych parafiach. Przedsięwzięli jedyną w swoim rodzaju, straszną w przebiegu i tragiczną w skutkach wyprawę, mającą na celu zdobycie portu, do którego mogłaby wygodnie zawinąć flota wojenna króla Anglii.

II

Pierwsze znaczniejsze osiedle zdobyte przez powstańców to miasteczko Machecoul, położone w strefie przymorskiej.

Wojsk regularnych nie było wtedy w Wandei prawie wcale, porządku pilnować miary milicje republikańskie oraz gwardia narodowa. Udawało się im to, dopóki wrzenie wśród chłopów — objawiające się wyraźnie już na długo przed ogłoszeniem poboru — nie przybrało rozmiarów powszechnego pożaru. W sierpniu 1792 roku dość łatwo odbito miasto Bressuire, częściowo zajęte znenacka przez doraźnie zgromadzonych, zbrojnych w kije i dubeltówki wieśniaków. Wzięci spośród miejscowej ludności zakładnicy zostali rozstrzelani, pozorny spokój powrócił.

Komendant Machecoul poległ w walce, większość jego podkomendnych wołała ratować się ucieczką. Panami położenia, dyspozytorami życia i śmierci stali się teraz powstańcy, zwłaszcza zaś ich przywódca, niejaki Souchu, poprzednio oficjalista dworski. Pośpieszył on uformować specjalny komitet, mający na celu wymiar sprawiedliwości, pojmowanej jako skazywanie każdego, kto myśli lub wydaje się myśleć inaczej niż wyrokująca władza. Trudno przemilczeć tę okoliczność, że Souchu zapoznał się ze wspomnianą metodą w Paryżu, gdzie przebywał podczas głośnych rzezi wrześniowych 1792 roku. W prowincjonalnym Machecoul powtórzono wzory stołeczne, tyle że przy akompaniamencie innej melodii politycznej. Ksiądz zaprzysiężony oraz sędzia pokoju zginęli, krzycząc uparcie: “Niech żyje naród!”, tłum zdobywców miasteczka był upojony: “Niech żyje król! Precz z narodem!” Wysokiemu urzędnikowi, do którego Souchu żywił osobistą animozję, odpłowano przed straceniem obie dłonie.

W zasadzie jednak egzekwowano przez rozstrzelanie, przestrzegając określonego porządku. Kontyngent dzienny wynosił trzydzieści osób, związanych za ręce w jeden szereg, zwany przez wykonawców całkiem jawnie “rózańcem”. Trzydziestka przewidziana i wyznaczona na dzień następny musiała się przyglądać losowi poprzedników, po czym odprowadzana była do więzienia, gdzie mogła w przeciągu nocy rozmyślać o rzeczach ostatecznych.

Gdy to się działo w Machecoul, oddziały republikańskie nagłym atakiem nocnym odzyskały pobliskie Pornic i zabijały bez litości. Schwytanych przywódców zakopywano żywcem po szyję i kamienowano głowy.

“W Machecoul zamordowano ogółem około pięciuset osób. “Błękitni” odebrali w

końcu powstańcom miasteczko, pole straceń, będące jednocześnie zbiorową mogiłą, stało się dostępne. Ze spulchnionej ziemi sterczały ramiona ludzkie o dłoniach kurczowo zaciśniętych na wiechciach zeszlórocznej trawy, na grudach ziemi.

Egzekucje odbywały się publicznie, lecz wobec takich świadków, których widok zakopywanych żywcem ludzi radował. Dopiero później historycy i pamiętnikarze stron obu z jednakową zgrozą i zawstyżeniem zaświadczyli o prawdzie.

W Machecoul odegrano coś w rodzaju uwertury do “wielkiej wojny” wandejskiej 1793 roku. Należy teraz wsłuchać się w pierwsze akordy finału, z wiosny przenieść się od razu w późną jesień.

16 listopada, już w nocy, zbudzono nagle dziewięćdziesięciu niezaprzyjęzonych księży, od miesiąca blisko więzionych pod pokładem brygu “Sława”, zakotwiczonego przy nabrzeżu Loary w Nantes. Przeprowadzeni niezwłocznie na stojący obok galar, powiązani parami, zostali znowu zepchnięci na spód statku, który wspomniana “Sława” wyholowała w ciemnościach na środek rzeki, w kierunku jej ujścia. Do obu burt barki przysunęły się czółna, młoty huknęły w pokrywy zawczasu przygotowanych luk. Reszty dopełniła woda, drągi, wiosła i osęki eskorty.

Taki przebieg miała pierwsza masowa egzekucja poprzez utopienie. Ostatnia odbyła się 31 stycznia 1794 roku, wszystkie razem pochłonąć miały około pięciu tysięcy ofiar. W jednym z pławień zginęły same dzieci w liczbie czterystu, w innym trzysta kobiet, przed wepchnięciem pod pokład starannie obnażonych przez wartowników.

Doświadczenie skłoniło wykonawców do stosowania ulepszeń technicznych. Zabezpieczono luki tak, aby uniemożliwić wypływanie ciał z puszczzonego na dno galaru. Loara wyrzucała je bowiem na suszę, przyływ pobliskiego oceanu pchał pod prąd. Z pierwszego topienia uratował się zresztą pewien ksiądz, który cudem jakimś odwiązał się od towarzysza i dopłynął do brzegu, gdzie ocalili go rybacy.

Ostatecznie zrezygnowano z zachowania tajemnicy. Przyszło wydać urzędowy zakaz picia wody z zakażonej rzeki, władze zaś centralne w Paryżu otrzymywały takie na przykład raporty : “Pięćdziesięciu ośmiu osobników, rozpoznanych jako oporni księży, przybyło z Angers do Nantes. Zostali natychmiast zamknięci na statku i ostatniej nocy utopieni. Cóżza rewolucyjny potok z tej Loary !” (“Quel torrent révolutionnaire que la Loire!”)

Topienie nie było oczywiście jedynym sposobem pozbywania się ludzi uważanych za szkodliwych, a więc zbytecznych. Zachował się oryginalny dokument, pismo prokuratora z Nantes do komitetu wykonawczego. Nadawca stwierdzał, że gilotyna wygląda zniechęcająco* nie można dalej dopuszczać, by krew była tak bardzo widoczna na pomoście. “Należy więc

szafot i sarną gilotynę pomalować na czerwono, pod szafotem zaś umieścić warstwę piasku, grubą na stopę lub dwie”.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia ukazało się rozporządzenie o iluminacji domów na cześć pewnej wygranej bitwy. Nazajutrz zgilotynowano siedemdziesięciu ludzi za nieposłuszeństwo.

17 października bitwa pod Cholet, początkowo pomyślna dla powstańców, zakończyła się ich ciężką klęską. Fanatyzm nie sprostał jednak umiejętnościom regularnych żołnierzy Marceau i Klebera. W krytycznym momencie przed frontem dywizji tego ostatniego pokazał się uciekający w panice komisarz polityczny, członek Konwencji, Jan Chrzyciel Carrier.

— Żołnierze, rozstapcie się! — krzyknął do swoich ludzi Kleber. — Przepuście obywatela reprezentanta na tyły. On będzie zabijać po bitwie.

W fatalną godzinę powiedział nieulekły Alzatczyk. Carrier został wkrótce komisarzem pełnomocnym w Nantes, lekko powyżej naszkicowane okrucieństwa były jego dziełem.

Trudno rozstrzygnąć, czy ma słuszość Jakub Baroche, któremu zawdzięczam wiele spośród podanych tutaj wiadomości. Twierdzi on, że sadyzm obozów koncentracyjnych drugiej wojny światowej nie przekroczył miar nantejskich. Miasto liczyło wówczas około stu tysięcy ludzi, terror pochłonął w nim podobno trzynaście tysięcy ofiar. Byli wśród nich mieszkańcy Nantes i okolicy, jeńcy wandejscy, podejrzani rozmaitego pochodzenia, stanu i wieku.

Wiele z prowadzonych do Loary kobiet oddawało swe dzieci przechodniom, wpychało je w milczący tłum widzów. Urzędowe rozporządzenie nakazało niewczesnie litościwym, pod groźbą kary śmierci, niezwłocznie odprowadzić “bandycieta” do przepelnionych więzień, gdzie ludzie marli masowo. Brakowało żywności, opału, opieki lekarskiej.

Carrier zaczął od zorganizowania komitetu wykonawczego straży, zapewniającej jemu osobiście zupełne bezpieczeństwo, i oddziału egzekucyjnego, zwanego “kompanią Ma- rata”. Zabezpieczył się ponadto w ten sposób, że starał się niczego nie podpisywać. Stosował wiekuiście żywotną metodę spychania odpowiedzialności na bezpośrednich wykonawców. Dzięki tej przezorności nawet po odwołaniu do Paryża długo chodził cały i zdrow. Dopiero w grudniu 1794 roku, w pięć miesięcy prawie po przewrocie 9 Thermidora, został skazany i ścięty. Wydała go trybunałowi Konwencja Narodowa, czyli jego własni koledzy, ludzie także odpowiedzialni za krew.

Gdy Carrier na zimno, cynicznie szalał w Nantes, Barras, Fouché, Tallien, Fréron masakrowali inne miasta francuskie — Tulon, Marsylię, Lyon... Żaden z tych mężów nie przypłacił swych postępów głową, niektórych spośród nich czekały nawet piękne kariery...

na nowej fali historii.

Po stronie republikańskiej generałowie Marceau i Hoche zachowywali się po ludzku, walczyli bardzo mężnie, stronili od okrucieństw. Los chciał, że żaden z tych młodych wojskowych nie doczekał XIX stulecia: pierwszy zmarł z ran, drugi od zarazy. W bitwie pod Cholet został śmiertelnie ranny jeden z najzdolniejszych dowódców wandejskich, Artus de Bon-champs. Konając w Saint-Florent, wymógł na towarzyszach broni przyrzeczenie uwolnienia czterech tysięcy jeńców przeznaczonych na stracenie.

Komitet Ocalenia Publicznego dowiedział się o tym wkrótce z listu swego komisarza: “Ci podli wrogowie Narodu... oszczędzili przeszło cztery tysiące naszych... To fakt, wiem o tym od wielu spośród nich. Niektórzy dali się wzruszyć temu dowodowi nieprawdopodobnej hipokryzji. Przemawiałem do nich i zrozumieli wkrótce, że nie powinni być bandytom wdzięczni. Ponieważ jednak Naród nie stoi jeszcze na wysokości naszych uczuć patriotycznych, postąpię rozsądnie nie mówiąc nikomu ani słowa o podobnej niewłaściwości. Ludzie wolni przyjmują życie z rąk niewolników! To nie po rewolucyjnemu. Trzeba zatem utopić w zapomnieniu ten pożałowania godny wypadek. Nie mówcie o nim nawet Konwencji. Bandyci nie mają czasu pisać ani wydawać dzienników...”

Raport ten opracował Merlin de Thionville, który odznaczywszy się niemało w terrorze “czerwonym”, wziął czynny udział i w “białym”, o parę zaledwie lat późniejszym. Od stu kilkudziesięciu lat trwa spór o odpowiedzialność, uczestniczyła w nim nawet beletrystyka Wiktora Hugo. Miewała zwolenników i prymitywna metoda przemilczania zbrodni popełnionych przez obóz mity sercu piszącego, lecz nigdy nie stanowiła ona reguły. Namiętny republikanin Louis Blanc nie kryje, że straszny wrzesień paryski 1792_roku wyprzedził w czasie okropności z Machecoul, szuka dłań jedynie okoliczności łagodzących.

Nigdy nie obali się niezbitymi Argumentami tezy, że Souchu i Franciszek de Charette De La Contrie srożyliby się mniej, gdyby na własne oczy nie oglądali krwi nader szczerze rozlewanej w stolicy. Pewne doświadczenia historii najnowszej zdają się bowiem świadczyć, że wystarczy drogę pokazać, a naśladowcy zaraz się znajdą. Za głównego winowajcę uznawać trzeba tego, kto dokonał wynalazku. Kto odkrył, że można powrócić do sposobów już z pozoru zupełnie przewyżczonych przez postęp kultury.

W XIII wieku, w dobie krucjat przeciwko albigensom, profilaktyczne i masowe wytepianie ludzi podejrzanych o ewentualną skłonność do nieprawomyślności stanowiło raczej regułę. Szymon de Monfort twierdził podobno, że zadanie jego polega na dostarczeniu jak największej ilości dusz przed sąd Najwyższego, gdzie już rozdzieli winnych od niewinnych, tym zaś ostatnim żadna krzywda nie może się stać w zaświatach. Później

dokonano jednak pewnych moralnych oraz intelektualnych zdobyczy, które zdawały się zabezpieczać cywilizowane społeczeństwa przed zmartwychwstaniem tego rodzaju poglądów. W szczególności we Francji właśnie wziął górę prąd umysłowy zwany racjonalizmem, Oświeceniem. Wydano Encyklopedię, napisano księgi *O duchu praw*, *Kandyda*, *Umowę społeczną* i wiele innych. Zapewne w imię zawartych w tych dziełach ideałów Jan Chrzciciel Carrier zalecał swym przełożonym zatrucie wód wandejskich arszenikiem.

Zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej zaczęły się ukazywać literackie wypowiedzi ludzi udręczonych. Cały dorobek kultury od czasów Homera i siedmiu mędrców greckich pisano—nie zabezpieczył nas przed dołą niewolników w kamie-niołomach...

Ból i gorzkość autorów takich twierdzeń zasługują na najwyższy szacunek. Wolno jednak pozostać wyznawcą przekonania, że ta bezsilna jakoby kultura coś niecoś jednak ludziom pomogła. Sposoby postępowania, które w czasach wojny pello-poneskiej stanowiły regułę, w nowszej dobie historii zdarzają się już tylko jako wyjątek. Marmurowe miasta rzymskie zamieszkiwała znaczna ilość takich ludzi, co zeznawać przed sądem mogli nie inaczej niż na torturach. Wtedy nie oburzało to najbardziej nawet subtelnych poetów.

Lecz próżno przeczyć aż za dobrze stwierdzonym faktom: nawroty barbarzyństwa, działanie wbrew dorobkowi kultury są możliwe.

Szyderstwa mało pomogą, nihilizm pewnie jeszcze mniej. Wydaje się, że ratunek przed regresami polega na zabiegu z pozoru prostym, lecz jakże trudnym do urzeczywistnienia: porządek polityczny powinien zabezpieczać społeczeństwa przed ludźmi, którzy za dużo wiedzą na pewno.

Przekonanie, że się posiada absolutną prawdę, pokusa wyregulowania raz na zawsze zgrzytliwego mechanizmu historii musi skłaniać do sięgania po środki skrajnie radykalne, rozgrzeszać z ich użycia. Pełna, niczym nie ograniczona władza jest głównym warunkiem spełnienia celu. Kto ją raz zdobył, temu już łatwo zdecydować się na niezbędną, w przekonaniu posiadacza prawdy, operację usunięcia wszystkiego, co zawadza zbawiennej, wszystko wyjaśniającej, niezawodnej ideologii. Oczyszczenie pola polegać musi przede wszystkim na unieszkodliwieniu ludzi nieprzekonanych lub podejrzanych o skłonność do dziedziczenia niewłaściwego bagażu. Tak oto w czasie nieraz zastraszająco krótkim przemierza się w tył drogę stuleci, powraca do przebranej w bardziej nowoczesny kostium postawy Szymona de Monfort. Różnica polega na tym, że średniowieczny baron uważał zapewne swe postępowanie za rzecz zwyczajną, powszednią. Jego duchowi spadkobiercy skłonni są głosić teorię stanu wyjątkowego. Nawet Himmler w ten właśnie sposób umacniał na duchu wykonawców programu oczyszczenia Europy z “mniej wartościowych elementów”.

Trzeba z zaciśniętymi zębami przejść przez to, ofiarnie dokonać operacji otwierającej przyszłym pokoleniom wrota błogostanu! Historia poucza jednak, że żaden z tych na krótką rzekomo metę obliczonych stanów wyjątkowych samoczynnie się jakoś nie zakończył. Zawsze potrzebna była w tej mierze pomoc ze strony ludzi... inaczej myślących, takich czy innych heretyków.

Wśród powszechnego zdziwienia Hoche i Marceau umieli zachować się przyzwoicie, w Nantes niektórzy przedstawiciele miejscowych władz republikańskich protestowali przeciwko bestialstwu Caméra. Wszysey oni pozostali więc posłuszni zasadom humanitaryzmu, w których ich wychowano. De Bon-champs dochował wierności etyce chrześcijańskiej i feudalnym prawidłom honoru, skoro wyblagał życie dla bezbronnych już wrogów. Nawet w dobie stanu wyjątkowego milknie nie cały jednak dorobek kultury.

Sceptycyzm podszeptuje, że za krótko trwało wszystko we Francji, humanitarne nawyki nie zdążyły wymrzeć...

W kilka dni po zdobyciu Bastylji w okolicach Paryża zatrzymano dwóch wyższych urzędników królewskich, Ludwika Bertier de Sauvigny oraz jego teścia, Józefa Franciszka Foulon. Głowę młodszego obnoszono na pice ulicami stolicy, starszego powieszono na latarni, zatkawszy mu poprzednio usta sianem, ponieważ miał jakoby to powiedzieć, że wspomniana substancja nadaje się na pokarm dla głodnego motłochu. Na wieść o tej zbrodni w Zgromadzeniu Konstytucyjnym zapanowała konsternacja. Odczynił urok Antoni Barnave, rzuciwszy słowa, które przeszły do historii:

— Cóż, panowie, czyż ta krew była znowu tak czysta?

W niedalekiej przyszłości Barnave miał się starać o przyhamowanie niebezpiecznych konwulsji rewolucji oraz o stabilizację jej zdobyczy ustrojowych. Przeciwnicy nie poprzestali na unicestwieniu tych zamierzeń, uznali ponadto krew ich autora za płyn mętny, nadający się jedynie do rozlania. 29 października 1793 roku Barnave żyć przestał. Stracono go na gilotynie. Lekko rzucony frazes parlamentarny oznaczano, co zaczęto ostatnio nazywać “zarażeniem śmiercią”. Droga została wskazana, i to już nie przez zbirów, najętych za pieniądze Filipa Orleańskiego, ani przez anonimów z przedmieścia, lecz przez prawodawcę. Barnave z góry rozgrzeszył poniekąd zarówno własnych sędziów, jak i ciemnego oficjalistę z Wandei, który okrucieństwami, pławieniem się w rozkoszach władzy absolutnej mógł rekompensować poniżenie, jakich doznawaj służąc poprzednio u dziedzica. Wziął na siebie poważną część odpowiedzialności za zbrodnie obydwu terrorów, czerwonego i białego.

W niepełne dwa miesiące dopiero po sukcesie parlamentarnym Antoniego Barnave Jean Paul Marat zaczął wydawać pismo “L’Ami du Peuple”, propagujące metody gwałtowne.

Każdy człowiek ma prawo rozpatrywania historii w świetle doświadczeń tej epoki, w której jemu samemu przyszło żyć. Takie postępowanie jest zresztą regułą, jednak nie wszyscy lubią się do niej przyznawać, bo pozowanie bardziej nieraz popłaca niż szczerść. Dzisiejszy czy miniony świat oglądać można tylko przez swoje własne okulary.

Niewesołe, zaiste, dzieje XX stulecia każą ze szczególną, większą niż dawniej uwagą badać problem odpowiedzialności za wskazanie drogi wstecz. Na samym początku pierwszej wojny światowej pewne wydarzenia wywołały wielkie oburzenie opinii publicznej. Zachowanie się wojsk niemieckich w Belgii i we wschodniej Francji, spalenie Kalisza w Polsce zostały powszechnie potępione jako objawy barbarzyństwa godnego Hunów. We wszystkich tych wypadkach sprawcy oskarżali ludność cywilną, ofiary represji, o rzecz sprzeczną z pra-wami wojny, czyli o działanie z bronią w ręku. O strzelanie do wkraczających oddziałów, mówiąc najprościej. Popełniono niewątpliwą zbrodnię, jeśli zarzuty były niesłuszne lub jeżeli represje spotkały osoby niewinne. W każdym bądź razie chodziło o konkretne oskarżenie. Od pierwszych dni drugiej wojny światowej zaczęto stosować metodę masowego tępienia i deportowania ludności okupowanych terenów, uznanej za zawadżającą na scenie historii. Metodyczna, starannie obmyślona eksterminacja mówiących innym niż okupant językiem i nie wyznających jego poglądu na świat to coś gatunkowo odmiennego od żołdackiej brutalności.

Istnieje paląca potrzeba opracowania i wydania "Chronologii europejskiego okrucieństwa w stuleciu XX". Przejrzyste uporządkowanie kolejności wydarzeń pozwoli na lepsze zrozumienie wielu spraw, z pozoru zagadkowych. To prawda, że nie zawsze konkretny fakt wynika z bezpośrednio poprzedzającego, ostrożność w formułowaniu sądów jest wskazana, nie ma jednak historii bez zegara. Tablice chronologiczne potrzebne są nie tylko w szkołach.

Pomiędzy rokiem 1914 a 1939 zakiełkować musiały zasadnicze zmiany w świecie pojęć moralnych Europejczyków. Kto i kiedy w tym czasie na nowo odkrył metodę profilaktycznego tępienia już nie przeciwników tylko, lecz i ewentualnych kandydatów na tę godność? Kto pierwszy zaczął zarażać śmiercią? Odpowiedzi na te pytania są chyba niezbędne i potrzebne takim, co chcą znać nie propagandowe fikcje, lecz prawdę.

Uważni obserwatorzy zawczasu dostrzegli, w jakim kierunku zaczyna zakręcać historia. Roman Dmowski zmarł w styczniu 1939 r., zdążył jednak ostrzec czytelników swych dzieł, że w zbliżającej się wojnie chodzić będzie nie o to, kto przegra, lecz o to, kto zostanie wytępiony.

Europejczycy, którzy w koloniach zawsze postępowali okrutnie, na

własnym kontynencie doszli jednak do norm zasługujących na zawiść. XIX stulecie było epoką nigdy przedtem ani potem niebywałego komfortu, moralnego także. Oskarżana o absolutne zacofanie Rosja carska postawiła swe sądownictwo na poziomie niebotycznym. Wolno było mieć nadzieję, że te zdobycze nadadzą się z czasem na eksport, tak jak się nadały kolejnictwo, antyseptyka, budownictwo miejskie, kanalizacja i wiele innych, rzeczy z dziedziny wiedzy przyrodniczej i technicznej. Nic podobnego się nie stało. Kontynent będący ojczyzną wielkich myślicieli, reformatorów i prawodawców zademonstrował mniej rozkwitłym społecznościom kanibalizm. Praktykę obozów śmierci, koncentracyjnych, pracy niewolniczej.

Zjawisko straszne, lecz w samej swej istocie nienowe, co w tych właśnie rozważaniach wprost wypada stwierdzić.

Nie można obarczać Antoniego Barnave wyłączną odpowiedzialnością za pochopne wyrokowanie o krwi nieczystej. Wśród winowajców zajmuje on jednak miejsce bardzo poczesne. Był wszak człowiekiem wykształconym, adwokatem, sam siebie uważał za szermierza programu wysnutego z dzieł myślicieli próby niezwykle wysokiej. Jego mistrzowie, racjoniści, zreformowali świadomość ludzką, ogromnie posunęli naprzód wiedzę o tym, czego każdy człowiek ma prawo domagać się z tego tylko tytułu, że żyje na świecie.

Z tych wyżyn dziwna, lecz przerażająco krótka droga wiodła pod pokład brygu "Sława", zakotwiczonego u wybrzeża Loary w Nantes.

Stwierdziwszy, że tego rodzaju zjawiska są możliwe, że mają tradycje, dokonajmy jeszcze jednego zabiegu umysłowego. Z całą starannością oddzielmy osiągnięcia owych myślicieli od uczynków samozwańców spadkobierców, ludzi, którzy sami siebie uznali za odkrywców jedynej, wszystkich bezwzględnie obowiązującej metody urzeczywistniania postępu. Nauczyciele umieli godzić teoretyczne światoburstwo z wymaganiami praktyki życia, co mogło niekiedy sprawiać wrażenie bardzo niesympatyczne, lecz dowodziło umiejętności bezcennej, miar nowicie poczucia relatywizmu. Uczniowie utożsamili siebie i swoją władzę z ideą, z ludem, ojczyzną, ludzkością.

Dawno już temu zauważono, że w rewolucjach rolę szczególnego rodzaju odgrywają trzeciorzędni adwokaci oraz literaci tej samej rangi. Nikomu jeszcze nie znany Marat próbował sił na polu literatury, lecz okazał się powieściopisarzem poronionym. Ten gatunek polityki, który nasze stulecie zwie totalizmem, oferuje okazję rekompensaty, odegrania się za zawody. Wolter pozostał wielkim Wolterem mieszkając na szwajcarskiej prowincji. Był z takich, co głową podbijają świat. Niektórym ambicjom na gwałt potrzeba szcudła

politycznych i biada temu, kto zechce je potrącić.

Po obaleniu monarchii Dantoa zainstalował się w rezydencjach przy placu Vend

me. Tego samego dnia przyboczny ministra, Kamil Desmoulins, napisał do ojca: “Sprawa wolności triumfuje. Oto jestem w pałacach Maupeou i Lamoignon!”

III

“Lud porywa się do walki dopiero wtedy, gdy tyrania doprowadzi go do rozpacz. Ileż cierpień zniesie, zanim się zemści! Jego zemsta jest w zasadzie zawsze słuszna, chociażby nawet nie była zawsze świadoma skutków...” Słowa te Jean Paul Marat napisał, wydrukował i ogłosił w październiku 1789 roku, wkrótce po przymusowym sprowadzeniu z Wersalu do Paryża rodziny królewskiej i Zgromadzenia Konstytucyjnego. Autorowi chodziło o doraźne efekty polityczne, lecz wywody jego — noszące charakter ogólnie stwierdzający — wywierają dość niesamowite wrażenie, jeśli w ich świetle rozpatrywać całe dzieje Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Na wiosnę 1789 roku lud wcale się do krwawej zemsty nad królem nie rwał, skierowane przeciwko monarsze niepokoje prowokowali za to już w latach poprzednich uprzywilejowani — szlachta i kler. W marcu roku 1793 lud wandejski masowo chwycił za kosy, widły, drażnił i zabijał za fuzje myśliwskie i przymusił okolicznych szlachciców do objęcia funkcji oficerskich. Widzieliśmy w Machecoul, jak potrafił się niekiedy zachowywać. Te działania nosiły niewątpliwie charakter zemsty, “która — zdaniem Marata — bywa “w zasadzie zawsze słuszna”. Za co i na kim mścili się plebeje?

Bardzo znaczna część słynnych “Kajetów skarg” przeszła przez staranne sito redaktorskie, którym dysponowali frondujący przeciwko Ludwikowi XVI uprzywilejowani. Mimo to pewne deklaracje uznać wolno śmiało za autentyczne, bo treść ich w żaden sposób nie mogła się podobać owym notablom. W Critot koło Rouen uchwalono więc na wiosnę 1789 roku, co następuje:

“Król, który jest dość mądry i wielki, by zwołać poddanych, wysłuchać ich zażaleń, zapytać o wszystko, co może dotyczyć usunięcia nadużyć i przyczynić się do pomyślności, król właśnie jest tym, którego wybralibyśmy na pana, gdyby Bóg już go nam nie dał w swej łaskawości. Urodzeni w państwie monarchicznym, chcemy na zawsze tegoż ustroju, niech tron pozostanie dziedzicznym, nie zaś elekcyjnym, i niech aż do skończenia wieków zasiadają na nim Burbonowie!”

Z pozorów skrajnie prawicowa treść tego fragmentu “Kajetu skarg” z Critot nie powinna wprowadzać w błąd. Hipolit Taine miał absolutną słuszość stwierdzając lakonicznie, że stary porządek przestał oddawać ogółowi usługi, stał się nieużyteczny i dlatego musiał ulec naprawie. Nikogo nie mogły przekonać wywody, że szlachta ma prawo do przywileju, ponieważ pochodzi od dawnych zdobywców frankońskich. Głęboka reforma

była koniecznością, lud chciał lepszej administracji, usunięcia nadużyć, równości, zwłaszcza zaś równości wobec urzędu podatkowego. Wolność zaś w każdym języku ludowym znaczy to samo, co sprawiedliwość.

Wielu pisarzy zjadliwie krytykowało doktrynerstwo “Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela” oraz innych postanowień wczesnego okresu rewolucji. Jeden z tych zarzutów wydaje się nieodpartym: przerobiono Francję, na monarchię konstytucyjną, lecz władzę wykonawczą, czyli królewską, sprowadzono właściwie do zera. Niektórzy działacze — wśród nich Antoni Barnave ! — usiłowali to naprawić, ale przez nich samych rozpędzone poprzednio mechanizmy obracały się już na zbyt silnych obrotach, zamiar pohamowania nie powiódł się. Kluby i sekcje działały, rwały się do dzieła nowe falangi przerabiaczy świata.

Bernard Fay powiedział niedawno o “Deklaracji Praw”, że “podobna była do podpisanego in blanco czeku, gwarantującego Narodowi serię korzyści, których dostarczyć mogło jedynie państwo zamożne, spokojne i potężne”.

Ależ ów czek miał pokrycie! Ze swymi dwudziestu siedmiu milionami mieszkańców Francja ówczesna była najliczniejszym, po Rosji, państwem na kontynencie, niedługo przed rewolucją wygrała wojnę morską z Anglią. Wspomniany przed chwilą autor sam stwierdził, że była też bogata, aczkolwiek—jak zwykle w kraju o charakterze przeważnie rolniczym — trudno w niej było szybko zmobilizować znaczniejsze sumy.

Darmo jednak marzyć o wykupywaniu czeku dużej wartości, kiedy się z wolnej i nieprzymuszonej, doktrynerstwem podsycanej woli wypowiedziało wojnę Austrii, przy której zaraz stanęły Prusy, kiedy się, zajmując Belgię, wyzwało na śmiertelny pojedynek Wielką Brytanię i kiedy się sprowokowało wielu własnych obywateli do desperackich odruchów.

Jeden z końcowych aktów “wielkiej wojny” wandejskiej~ rozegrał się na wyspie Noirmoutier. Wygłoszono tam wtedy słowa, w które warto się wsłuchać ze szczególną uwagą. W obliczu nieuchronnej śmierci ludzie mówią zazwyczaj prawdę.

Noirmoutier jest, jak wynika z opisów, piękna, wesoła i urodzajna. Oprócz drzew i krzewów gdzie indziej powszednich rośnie na niej cyprys i tamaryszek, wczesną wiosną rozkwita mnóstwo mimozy. Patrzyłem na wyspę z łądu stałego i połogi jej kontur wywarł na mnie wrażenie dość pęsejne. Pewnie dlatego, że pochmurne niebo osiadło nisko nad powierzchnią oceanu, świat tak pomroczniał, jakby dzień majowy miał się nagle skrócić o kilka godzin. Pewną rolę odegrały jednak i rozmyślenia o sprawach, którym poświęcona jest ta książka, o tym, co się illo tempore odbyło za cieśniną.

We Fromentine, gdzieśmy się na krótko zatrzymali, przywabia oczy atrakcja turystyczna, ciekawa zwłaszcza dla przybyszów z krain przyległych do nieruchawych mórz.

Jest to dobra, gładka szosa, wchodząca wprost w wodę i tonąca w niej bez śladu. Tylko dalej mającą zatrzy ni to wieżyczki, ni bastiony. W porze odpływu szosa wynurza się na całej długości i można wygodnie dotrzeć nią na wyspę. Owe zaś gniazda bocianie to schronienia dla takich, co się zagapią i dadzą zaskoczyć przypluwowi, bardzo w tych stronach gwałtownemu.

W październiku 1793 roku szosy jeszcze nie było. Franciszek de Charette brnął ze swymi ludźmi po odsłoniętym dnie cieśniny. Zdobył i osadził dwutysięczną załogą wyspę, która się wtedy od niedawna zaczęła nazywać Ile-de-la-Montagne, bo stare miano Czarnego Klasztoru nie dogadzało płomiennym nowatorom. U schyłku grudnia wypłynęła z Nantes silna flota inwazyjna, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia wojownicy stron obu zaczęli się popisywać zupełnie niezwykłym męstwem i zajadłością. Zdarzył się wtedy jedyny w czasie całej wojny wypadek samobójstwa wśród powstańców. Śmiertelnie ranny kapitan Dubois strzelił sobie z pistoletu w usta, by nie wpaść w ręce wrogów. “Armia katolicka i królewska” rygorystycznie — jak widać — przestrzegała połowy piątego przykazania Bożego.

Niedobitki obrońców złożyły broń, kiedy “błękitni” wdarli się do głównego osiedla wyspy, Noirmoutier-en-l’Ile. Wbrew warunkom zawartej podobno kapitulacji, wszystkich jeńców stracono. Generałowie republikańscy podpisali — jakoby to — umowę, po czym komisarze polityczni pokazali im dekret Konwencji, skazujący wszystkich rebelizantów na śmierć.

Żył wtedy, a może raczej dogorywał w miasteczku Maurycy Gigost d’Elbée, jeden z najzdolniejszych wojskowych wandejskich, po zgonie Cathelineau wódz naczelny. Czternastokrotnie ranny w bitwie pod Cholet, został przez towarzyszy przewieziony na wyspę. Ponieważ nie mógł ani chodzić, ani nawet stać, zdobywcy jej umieścili go w fotelu, wynieśli na plac Broni i rozstrzelali siedzącego. Razem z generałem egzekwowano dwóch jego krewnych oraz tego oficera rewolucyjnego, któremu de Charette odebrał był poprzednio Noirmoutier. Nazajutrz rozstrzelano w tym samym miejscu panią d’Elbée.

Małżonek jej był przed śmiercią długo przesłuchiwany. Nie udzielił żadnych wojskowo cennych informacji, wyjaśnił za to motywy swego postępowania. Koniecznie trzeba w tym miejscu przypomnieć, że należał do tych ziemian, którzy opuścili swe dwory i poszli się bić dopiero na wezwanie ze strony już zbuntowanych chłopów. D’Elbée powiedział przed śmiercią:

— Przysięgam na honor, że aczkolwiek pragnąłem monarchii, nie miałem żadnych projektów szczególnych i byłbym żył jak uległy obywatel pod każdym rządem, który by mi zostawił spokój oraz swobodę praktykowania mojej wiary.

W niektórych epokach historii zamiar życia w spokoju staje się programem wywrotowym. Człowiek musi bowiem żyć prawidłowo, same zaś prawidła są we wszystkich szczegółach znane tym, co akurat posiadli pełnię władzy i płynącą z niej wszechwiedzę. Masie ludzkiej przypada w tych warunkach rola personelu, obsługującego politykę i nieustannie wykazującego entuzjazm.

Generał Jan Chrzyciel Kléber, fachowiec wojskowy mało co gorszy od Napoleona, wydawał się ówczesnym komisarzom politycznym podejrzany. Służy republice tak, jak służyłby monarsze — utyskiwały donosy. Wspaniale wprawdzie, lecz nieprawidłowo! W karygodny sposób zachowuje osobowość. Przeczyć nie sposób! Kléber mawiał, że w jego czasach awans na generała zaczął się równać przepustce na gilotynę.

Wydaje się, że najistotniejszą przyczyną powstania wandejskiego była praktyka bezwzględnego wtłaczania życia między doktrynerskie groble.

Pobór do wojska był ostateczną okazją do próby pozrywania owych grobli, jedną z całego cyklu przyczyn powstania. Nie ze strachu przecież przed nieprzyjacielem zewnętrznym ludzie porwali się do roboty krwawej i beznadziejnej. Sapinaud de la Rairie, jeden z dziedziców wezwanych do współdziałania — ten akurat, co walczył szczególnie długo, ocalał i doczekał Ludwika XVIII — początkowo usiłował mitygować plebejskich sąsiadów: “Przyjaciele, co chcecie uczynić? Gleba przeciwko żelazu! Jeden departament przeciwko osiemdziesięciu dwóm!...”

“Kajety skarg” zajmowały się sprawą służby wojskowej, czyniły to przy tym w sposób pozwalający wejrzeć w dziwne tajniki “starego porządku”, który lekkomyślnie przyzwyczailiśmy się nazywać “absolutyzmem” monarszym. Król wojował żołnierzem zaciężnym, miał też nieliczne milicje prowincjonalne, powoływane w drodze losowania i będące wiernym poddanym istną solą w oku. Czyż można się z tym pogodzić, że ojciec rodziny, płatnik podatków, może jeszcze utracić syna, jedyną swą podporę na starość? — zapytywano uroczyście. “Wiemy wprawdzie, że ten, którego losowanie powołało do milicji, w czasie pokoju nie porzuca swego ogniska rodzinnego, że w dalszym ciągu, niemal bez przerwy, pracuje na roli. Lecz czyż jest on wolny? Rodzaj przywiązanego do ziemi niewolnika, nie może się oddalać bez pozwolenia, poddany jest inspekcjom, rewiom; na sześć lat pozbawia się go najcenniejszego z jego praw, mianowicie prawa wyboru towarzyski życia...” Dodać wypada, że parafia francuska ofiarowywała molochowi milicji królewskiej jednego takiego “niewolnika”. Aby się uwolnić od tego obowiązku, bardzo często wynajmowano zastępcę, obciążając kosztami wszystkich parafian jednakowo.

Nie tak łatwo przyjęła się w Europie rzecz, bez której my dzisiaj nie umiemy sobie

wyobrazić istnienia państwa — powszechny obowiązek służby wojskowej. Już dość dawno temu powiedziano, że najbardziej liberalna republika dzisiejsza wydałaby się ludziom ówczesnym straszonym domem niewoli, że stary porządek był po prostu naszpikowany niepojętymi dla nas wolnościami.

W “Kajetach skarg” napotykamy żądanie zupełnie konkretne. Domagano się całkowitego zwolnienia od służby wojskowej tych wszystkich, którzy pracują na roli. Rekrutów—zdaniem wnioskodawców — należało brać z miast, zwłaszcza zaś spośród orszaków wielkich panów duchownych i świeckich. I wychowywać na żołnierzy wszystkie podrzutki płci męskiej.

Mobilizacyjny dekret Konwencji pozostawał w rażącej sprzeczności z tymi żądaniami, odnosił się do wieśniaków, zwalniał bowiem od poboru wszelkich uczestników administracji republikańskiej, czyli przeważnie mieszczan. Ówczesny chłop-właściciel potrzebował do pracy wszystkich swych synów, w jego gospodarstwie nie mogło być rąk zbędnych. Rozstrzygał o tym poziom techniki rolniczej. Sam Napoleon mawiał nieraz w przeszłości, że pobór jest bardzo wielkim złem.

Za Dyrektoriatu, kiedy parawany ideologiczne przyblakły i utraciły na znaczeniu, wprowadzono prawo, którego mocą można było wykupić się od wojska, najmując zastępcę. W zależności od daty i koniunktury ceny wahały się od tysiąca ośmiuset do czterech tysięcy franków. Wątpić wolno, czy wielu chłopów rozporządzało takimi zapasami gotówki, to mieszczanin zyskiwał na nowym przepisie. W tym właśnie kierunku, lecz wcale nie tylko w dziedzinie spraw wojskowych, prąd płynął od początku rewolucji.

Hipolit Taine stwierdził, że zaopatrzyła ona mieszczaństwo w dziób i pazury. Odnosi się jednak wrażenie, że ostre te narzędzia wpiły się w skórę przede wszystkim chłopską. Zaszedł ponadto ten stan rzeczy, przed którym przestrzega przysłowie ukraińskie: “Ne daj Boże z Iwana pana, a z Maryjki dobrodij-ki”. Bezceremonialność nowych władz równała się tylko ich przekonaniu o własnej nieomyślności. Elementy społeczne żarte dotychczas zazdrością w stosunku do szlachty rekompensowały kompleksy, przystąpiły do radosnej twórczości.

O potrzebie zreformowania administracji rozmyślano we Francji już za Ludwika XV. Konstytuanta przeprowadziła ten niezbędny zabieg od ręki i wcale bezwzględnie. Podzielono kraj na osiemdziesiąt trzy departamenty, krojąc dawne, historyczne prowincje, tworząc z okrawków nowe całości. Historycy są zgodni, że nie zwracano uwagi na przyzwyczajenia ani na sentymenty ludności.

Departament Wandei, wycięty z dawnego Poitou, nie objął miejscowości duchem i

obyczajem tak doń przynależnych, jak Bressuire i Cerizay. Wziął nazwę od małej rzeczulki la Vendée.

Jak się dowiaduję z książki p. Jerzego Bordonove, miano to pochodzi od celtyckiego wyrazu Vendo, oznaczającego kolor biały. I jakże tu nie wierzyć w magię słów!

Tworząc departamenty nadawano im nazwy umotywowane w rozmaity sposób. Niektóre z nich — jak Gironde i Wandea właśnie — od razu wkroczyły do historii, wszystkie razem — nabrawszy patyny — stworzyły pełną wdzięku poetykę administracyjną kraju. To miło pisać na kopercie: Finistère, Var, Landes, zwłaszcza zaś Calvados. Imię własne odróżnia, przez samo swe istnienie wytwarza między mieszkańcami subtelną tkanę łączącą.

Byli w Konstytuancie zwolennicy całkowitej racjonalizacji. Pragnęli oni ponumerować departamenty. Gdyby przemogli, czytaliibyśmy dziś w gazetach, że w Pałacu Burbońskim doszło do żywej wymiany zdań pomiędzy deputowanymi z okręgu na przykład dwadzieścia sześć i siedemdziesiąt trzy. Tak właśnie, bo miłośnicy wygod administracyjnych lubią racjonalizować także gramatykę i język.

Miewa się czasem szczęście autorskie. Podczas pisania poprzedniego rozdziału znalazłem w dzienniku "Le Monde" (z dnia 31 stycznia 1969 roku) artykuł zatytułowany *L'opinion française et l'*

me bretonne. Napisał go p. E. Ollivro, mer z Guingamp w departamencie C

tes-du-Nord. Czytamy:

“Bretania to nie tylko inwestycje i praca, to ponadto jeszcze osobowość, odrębność, szczególnego rodzaju wrażliwość wobec życia... Żadnego zamiaru rozrywania tkaniny narodowej. Lecz trzeba zrozumieć jedno: Bretania ma duszę. Problem bre-toński to także problem szacunku”.

Czego jak czego, ale szacunku dla ludzkich umiłowań władze rewolucyjne wykazywały bardzo mało.

Zatem “Bretania ma dusze”. Jedną i niepodzielną, aczkolwiek od opisywanych tu czasów podzielona jest na departamenty: Finistère, C

tes-du-Nord, Morbihan, Ille-et-Vilaine, Loire-Inférieure. Można sobie tylko wyobrazić, jak tę swoją odrębność odczuwali ludzie, którym żyć przyszło u schyłku dni Ludwika XVI.

Hipolit Taine musiał się chyba pomylić, kiedy utrzymywał, że we Francji tuż przed rewolucją nie istniał ani municypalny, ani prowincjonalny patriotyzm. Ale i on napisał: “Z wyjątkiem Wandei, nie znajduję ani jednego miejsca, ani jednej klasy, gdzie by masa ludności w godzinie niebezpieczeństwa mogła się zgromadzić wokół zaufanych jednostek i tworzyć oddziały”.

Osobowość wandejska została więc uznana przez badacza, do przesady może sceptycznego. Bretończycy też zdolni byli do tworzenia oddziałów, stosowali jedynie taktykę partyzanckiego rozdrabniania sił. Wandeja wyłoniła wielotysięczną armię “katolicką i królewską”.

Zadziwiająco szybko przyjęła się, zakotwiczyła w duszach nazwa świeżo nadana szmalowi królewskiego Poitou. Generałowi d’Elbée proponowano, w zamian za zeznania, łaskę dla jego żony. “Ona potrafi umrzeć jak Wandejka” — odpowiedział.

“Biali” zdobywcy Machecoul krzyczeli podobno “à bas la nation!” Czy dlatego wolno ich odsądzać od wszelkiego patriotyzmu?

Patriotyzm to uczucie zrodzone z konkretnego i polegające na konkretnym. Kochać można tylko istniejący kraj i naród, całą jego skomplikowaną teraźniejszość i przeszłość. W wyobraźni żołnierza na froncie rzekoma abstrakcja doznaje znamiennej materializacji — ojczyzna utożsamia się z jednym wspomnieniem. U wieśniaka może to być obraz drzew przy ojcowskiej zagrodzie, u mieszkańca miasta — stara uliczka. W obliczu śmierci uczucie wraca do swego prąródła. Były przecież takie czasy, gdy ludzie gotowi byli umierać za ten skrawek ziemi tylko, który się oglądało z drewnianych wałów ich plemiennego osiedla. Za najbliższym widnokretem leżały kraje obce, wroga i niebezpieczna zagranica. Do pojęcia i do miłości ojczyzny droga wiodła przez ojcowiznę, innej nigdzie w Europie nie było.

“Dziewięćdziesiąt dwa ogniska domowe składają się na całą naszą parafię, nie mającą więcej niż dwie mile obwodu; siedemset osób różnej płci i różnego wieku: oto cała prawie liczba mieszkańców, którzy wszyscy bez wyjątku związani są z rolą. Zamieszkali o siedem mil od rzeki, oddaleni od wielkich gościńców i od miasta więcej niż o trzy mile, nie mając do rozporządzenia innych dróg, jak bardzo złe, nie mogą stworzyć żadnego dochodowego przedsięwzięcia, nic nie może pobudzić ich wytwórczości ; nie mają nic nadającego się na handel, żadnego u nich wywozu ani przywozu” — uskarżano się z początkiem roku 1789 w Soulangis koło Bourges.

Przychodzi w tym miejscu na pamięć tekst stary, słowa napisane w wieku XV, lecz i

w XVIII dla wielu jeszcze Francuzów pełne prawdy—wiersz Franciszka Villona, poświęcony matce: Prostaczka iestem stara y uboga, Nic nie znam — liter czytać nie znam zgoła — Oprócz parafii mey niskiego proga, Gdzie ray oglądam y harfy dokoła, Y piekło, w którym potępieńców prażą¹.

Tak zwana konstytucja cywilna kleru skasowała pięćdziesiąt i jedno biskupstwo oraz jedną czwartą ogólnej liczby parafii. Zastosowano kryterium arytmetyczne, nie zwracając uwagi na historię, tradycję i temu podobne przesady. Na każdy departament przypadać miał od tej pory jeden biskup, przestawały istnieć parafie niedostatecznie liczne lub — jeśli chodzi o wieś — położone w nieprzepisowej, zbyt małej odległości od miast.

W roku 1790 deputowani nie osiągnęli jeszcze szczytów administratorskiej romantyki, nie pozwolili Maksymilianowi de Robespierre dokończyć mowy uzasadniającej potrzebę, przymusowego żenienia księży. Wystarczyło jednak i to, czego dokonali.

Biskupi i proboszczowie mieli pochodzić z wyboru, dokonywanego jednak wcale nie przez wiernych, lecz przez wszystkich obywateli “czynnych”, zamieszkałych w danym departamencie czy też dystrykcie. Wyborcą pierwszego stopnia zostawał taki, co płacił podatek bezpośredni równy cenie trzech dni pracy najemnej. On powoływał elektorów właściwych, którym przysługiwało prawo ostatecznego nominowania władz świeckich i duchownych. Godność wyborcy drugiego, więc lepszego stopnia osiągało się dzięki podatkowi w wysokości stu pięćdziesięciu dni pracy najemnej.

Wskutek tej racjonalizatorskiej ustawy ubodzy parafianie zamieszkali w jakimś zapadłym kącie, w cieniu kościoła pamiętającego Merowingów, mieli otrzymać pasterza wybranego w odległym mieście, przez ludzi bogatych, lecz wcale niekoniecznie będących katolikami... chociażby z metryki tylko. Nadanie pełni praw obywatelskich wszystkim innowiercom, zarówno protestantom, jak żydom, było postępkim słusznym i pięknym. Powołanie ich także oraz ateistów do rozstrzygania o wewnętrznych sprawach Kościoła—po prostu przestępstwem politycznym. W wybieraniu duchownych uczestniczyć mógł każdy obywatel “czynny”, który w dniu głosowania dopełnił małej formalności: pofatygował się pójść na mszę. Działając w imieniu abstrakcyjnego rozumu, grubo przekroczone granicę rozsądku, którym zwykli ludzie posługują się na co dzień.

4 maja 1966 roku, podczas prac wykopaliskowych przed paryską katedrą Notre-Dame, odnaleziono mały przedmiot-cik szklany, który już wkrótce można było oglądać na wystawie. Jest to leciutko wypukłe, zielonkawe i przejrzyste denko pucharka. Czarniawa, na zawsze wżarta w cienkie szkło patyna obramia znak środkowy, skrzyżowanie greckich liter X i P

¹ przekład Boya

—”monogram Chrystusa. Według podania takiż symbol widniał już 28 października 312 roku na labarum cesarza Konstantyna-Wielkiego podczas bitwy przy moście Mulwijskim w Rzymie. Pewne jest, że pojawił się na szczytach drzewc sztandarowych zaraz po roku 317.

Denko pucharka pochodzi z tego samego IV stulecia i zalicza się zapewne do najstarszych śladów chrześcijaństwa na Wyspie Grodzkiej w Paryżu.

Są we Francji zabytki równie stare, lecz znacznie masywniejsze od szkła. W Poitiers dość późno, prawie o zmierzchu, zawędrowaliśmy pod baptysterium, ponieważ wspaniałości tego pięknego miasta są dziwnie rozproszone w terenie. Budynek siedzi głęboko w ziemi, zanurzony w niej chyba równo po pas. Odkopany jest oczywiście i zabezpieczony, lecz nie sposób go już wydobyć na powierzchnię, która miała czas spęcznieć, podrosnąć. Baptysterium było remontowane już za wspomnianych przed chwilą Merowingów. Wybili się oni w państwie Franków dopiero pod koniec V stulecia, baptysterium zaś wybudowane zostało w pierwszej połowie IV. Chrzczono w nim najbardziej starożytnym obyczajem — przez zanurzenie w wodzie świeconej.

Poitiers to stolica historycznej prowincji Poitou, z której ciała wykrojono kilka departamentów, między innymi Wan-deę. Wiekowymi, zaiste, porządkami zatrzęśli racjonalizatorzy z Konstytuanty, Legislatywy i Konwencji Narodowej.

Trudno dociec, kto spisywał skargi mieszkańców rozmaitych prowincjonalnych osiedli, kto nadawał jeśli nie literacką, to przynajmniej spójną formę językową zbiorowym ubolewaniom. W wielu wypadkach zajmowali się tym na pewno księża, proboszczowie i wikariusze. Byli piśmienni, wykształceni, tradycja zaś, cały aż po rok 1789 funkcjonujący stary porządek, powierzała im obowiązek zajmowania się nie tylko sprawami wiary. W królestwie francuskim parafia stanowiła oficjalne, niczym nie zastąpione ogniwo administracji. Ksiądz czytał z ambony rozporządzenia władzy, nawet te o charakterze policyjnym, wiec ogłoszenia o popełnionych przestępstwach i obowiązku ścigania sprawców. Po nabożeństwie naradzał się z parafianami, a zebrania te, ciągle odbywane na szczyblu społecznie niewątpliwie najniższym, nadawały szczególną barwę życiu codziennemu w monarchii “absolutnej”. Rozprawiano i postanawiano o sposobach wykonywania rozporządzeń władzy, zajmowano się również opieką społeczną, *zarządzano* wspólnym majątkiem parafialnym... teraz skonfiskowanym przez państwo. Aż do końca stary porządek królewski składał się właściwie z mnóstwa parafialnych “małych republik autonomicznych”, których obywatele stroili się nawet, dla odróżnienia, w kolory odmienne od sąsiedzkich.

Sympatyczny ten — pewnie tylko z historycznej oddali — system zwątlął i spróchniał, reforma stała się koniecznością! Nowo wprowadzone gminy otrzymały uprawnienia rozległe,

wykonywały nawet niektóre funkcje sadownicze. Władze pochodziły wyłącznie z wyboru, w głosowaniach mogli uczestniczyć tylko obywatele “czynni”. Dostęp do godności radnego gminy otwierał podatek równy cenie dziesięciu dni pracy najemnej. Chłopi ubodzy stracili swe dawne uprawnienia.

Pojęcie konieczności dziejowej otwiera niekiedy drogę do groźnego absurdu. Ciągłe czai się między ludźmi pokusa ostatecznego uporządkowania świata wynika z przekonania, że dotychczasowa historia była właściwie omyłką. Niewiele krajów potrafiło się zabezpieczyć przed przywódcami nie żywiącymi wątpliwości, że prawidłowa historia zacznie się dopiero od nich.

Konieczność polega właściwie na nieustannej naprawie, bo porządku idealnego nigdy nie było, nie ma i nie będzie. Jedynym dorobkiem narodów jest to tylko, co wytworzyła ich własna, indywidualna i zbiorowa przeszłość. To ona dopracowała się w przeciągu wieków wartości bardzo nieraz względnych, lecz takich, którym ludzie gotowi są dochowywać wierności dozgonnej. Doświadczenie zaleca ostrożność. Nie tylko dlatego, że nadmiar reformatorskiej romantyki pobudza operowanych do oporu,⁷ też niekiedy absurdalnego. Dlatego również, że nie liczący się z niczym karczunek owych wartości upadła człowieka.

Czyja postać bardziej przyozdabia historię Francji: figura chłopca Cathelineau, co rozjątrzony do żywego wystąpił przeciwko reformom zarówno niewczesnym, jak i zbawiennym i poległ z różańcem w dłoni, czy też moralny wizerunek królewskiego chrześniaka Ludwika Fréron², który najpierw w imię czerwonych ideałów topił we krwi południe kraju, potem zaś — w chwili bardzo właściwej — zajął poczesne miejsce wśród białych pałkarzy? Postarajmy się zapomnieć na chwilę o programach, pozostajmy przy tym, co stanowi o godności człowieka. Którą z tych dwu postaw życiowych zalecić by należało jako wzór.

“W tej wierze pragnę żyć jak i umierać” — kazał Villon mówić swej matce, osobie nie znającej niczego poza własną parafią.

Cathelineau, jego liczni sąsiedzi i kumowie wcale się początkowo nie porywali przeciwko rewolucji. Jednakże twórcy nowego porządku za mało świadczyli szacunku sprawom, które postanowili do gruntu zmienić. Dawno już temu powiedziano, że adwokaci wiodący rej w Konstytuancie po prostu odłożyli na bok “Kajety skarg”, zapomniawszy o ich zgrzebnej nieraz treści, wyemigrowali w świat własnych teoretycznych koncepcji. Matematyk Condorcet nie darmo nazwał tę Konstytuante zgromadzeniem tysiąca dwustu metafizyków. Najbardziej republikańsko myślący historycy nie przeczyli, że “konstytucja cywilna kleru”

była politycznym szaleństwem.

“Kajety skarg”, spisane w jakimś procencie przez księży, zajmowały się dolą i rolą duchowieństwa. Oburzeniu na luksus wśród biskupów towarzyszyło ubolewanie nad biedą niektórych proboszczów, zwłaszcza zaś wikariuszy. Niewiele upłynęło czasu i oto ujrzano, że ogromna większość miejscowych kapłanów przetworzona została w coś w rodzaju zwierzyny łownej. Przez wieki wespół z wiernymi tworzyli oni “parafialne republiki autonomiczne”, teraz musieli się kryć, ponieważ odmówili przysięgi na ową konstytucję, pozbawiającą ich właściwie charakteru duchownych katolickich. Metamorfoza była równie nagła jak niepotrzebna. Deklamacje na temat miłości dla ludu nie mogły naprawić skutków pogardy dla jego uczuć.

Sani Saint-Just mawiał, melancholijnym zapewne tonem : “lud wiekuiste dziecko...” Podobna postawa przytrafia się dość często rozmaitym trybunom, skłania ich do prowadzenia nieletnich ku przymusowemu szczęściu.

Aż do roku 1791 włącznie było spokojnie w kraju od południa przylegającym do ujścia Loary. W marcu roku 1793 pięćset parafii porwało się do broni. Amazonka wandejska, uczestniczka wojny, markiza Maria Luiza Wiktoria de la Ro-chejaquelein — primo voto de Lescure — napisała w swym pamiętniku, że walczono nie z wyrachowania, lecz w imię zranionego uczucia, z rozpacz. Odnalazło się zatem w starym i białym tekście słowo użyte również przez Jean Paul Marata.

“Lud podniósł się od razu, ponieważ pierwszy przykład oddziaływał na umysły nastrojone do rewolty”.

Za głęboko, nazbyt brutalnie naruszony został ład istniejący od wieków. Byłoby ciężkim błędem twierdzić, że ludzie do niego przywykli. Oni stanowili tego ładu najistotniejszą część składową.

² Ojcem chrzestnym Ludwika Fréron był Stanisław Leszczyński

IV

Panu d'Elbée nie dane wiec było zażywać spokoju w jego La Loge, która — jeśli wierzyć starym sztychom — w niczym nie przypominała pałacu. Wbrew własnej woli dostał się na ścieżkę heroiczną i wytrwał na niej do końca.

Historycy wcale nie uważają przyczyn fenomenu wandejskiego za wyjaśnione. Wręcz przeciwnie, twierdzą, że prawdziwe badania naukowe dopiero się rozpoczęły. Sto lat temu można było poprzestawać na cytowaniu listów komisarzy politycznych, którzy — odsyłając Konwencji zdobyte czy też pozbierane na drogach odwrotu Wandejczyków insygnia religijne — pisali: pokażcie to ludowi Paryża, niechaj wie, jakimi sposobami oporni księża oszukują wieśniaków i wiodą ich do zbrodni ! Dzisiaj nikt nie skreśla kwestii wiary z historycznego rejestru, wszyscy chyba natomiast odzegnywują się od teorii o przemożnej roli machinacji kleru. Propaganda polityczna z reguły trudni się wulgaryzowaniem historii.

Niedawno rozpoczęte badania prawdziwie naukowe przyniosły już jednak zdobycze wielkiej wagi. Stwierdzono na przykład głębokie ubóstwo Wandei, dowiedziono, że w niektórych jej parafiach połowa ludności musiała korzystać z opieki społecznej.

Teoretycznie rzecz biorąc, nędzarz powinien być zwolennikiem rewolucji. Ale tamta rzeczywistość, nie wyimaginowana rewolucja po to zniosła przywileje herbu, by na ich miejscu postawić prawo pieniądza.

Niekiedy żmudne badania naukowe potwierdzają myśli i wypowiedzi, które można było uważać za pozerskie i fałszywe. Uczony dochodzi na przykład do wniosku, że w Wandei “każdy starał się trzymać swego obyczaju, dzwonnicy swej parafii i swego proboszcza”. Przedśmiertne wyznanie generała d'Elbée zawiera tę samą treść.

Szkic literacki nie ma prawa, autor jego nie powinien też żywić zamiaru zastępowania historii naukowej. Dzięki niej przyszłość pozna strukturę kraju, ekonomiczną, społeczną, prawną i kulturalną sytuację jego mieszkańców. Całokształt tych stosunków wywierał wpływ na postępowanie ludzi, lecz literatowi wolno już teraz interesować się naturą bodźców oddziałujących na nich bezpośrednio. Żadna przecież z działających osób nie ogarniała myślą całej, niezmiernie skomplikowanej problematyki regionu nawet, już nie mówiąc o całym państwie. Zgłębi ją dopiero nam współczesny historyk, postępujący z rozwagą, starający się nie stracić z oczu żadnego szczegółu. Rezultat jego pracy nosić będzie charakter spokojnego komunikatu, powstaniec zaś wandejski działał pod wpływem emocji. Wielorako uwarunkowane bodźce do niego docierały w postaci wstrząsów psychicznych i moralnych.

Obrażone uczucie pchało do obrony umiłowań, do walki, zemsty i ofiary.

Powołaniem literatury jest przenikanie tej właśnie strefy.

faktów, jak najbardziej realnych.

Trzeba teraz opuścić na chwilę ziemie wandejskie, by przenieść się za Loarę, do Bretanii. Nie będzie w tym przesadnej dowolności, wiadomo przecież, że obie te prowincje odegrały w dziejach ówczesnych rolę mateczników kontrrewolucji. W Bretanii właśnie przytrafił się wypadek dość wyraziście malujący rolę emocji. Opowiedzieć wypadnie pokrótce o ostatniej przygodzie markiza Armanda de la Rouairie (zapożyczając się poważnie u Gabriela Lenotre, który źródłowo przestudiował dzieje jego żywota).

Nie był to już człowiek młody i taki w dodatku, co z niejednego pieca chleb jadał. Urodzony w roku 1750 w pięknym Fougères, o którym przyjdzie jeszcze wspomnieć, za młodu kochał się, pojedynkował, próbował nawet samobójstwa. Walczył w Ameryce o wolność Stanów Zjednoczonych, zasłynął tam pod pseudonimem pułkownika Armand. Wróciwszy do Francji, namiętnie wdał się w spór szlachty i kleru z rządem królewskim, zmierzającym do reform, które może zapobiegłyby rewolucji. Uprawiał opozycję tak stanowczo, że na czas pewien dostał się pod klucz, do Bastylii. Kiedy jednak paryżanie zburzyli ten “przybytek niewoli” — mniemając, jak głoszą niektórzy, że znajdują się tam znaczne zapasy mąki na chleb — markiz de la Rouairie przerzucił się na stronę tego, który go poprzednio więził. Został organizatorem i szefem “Asocjacji Bretońskiej”, spisku mającego na celu przywrócenie pełni praw królowi.

De la Rouairie liczył na pomoc ze strony tych samych Anglików, z którymi dopiero co skończył się bić za oceanem. O konspiracji bretońskiej dobrze wiedział, miał w niej swoich ludzi Danton. “Dobry minister policji trzyma zawsze w pogotowiu ze trzy spiski i dwa zamachy stanu”. Co prawda Danton piastował wówczas tekę ministra sprawiedliwości, nie zaś policji, ale to na jedno wychodzi w czasach dyktatur. Penetrowanie prawicowych sprzysiężeń mogło się wielorako przydać.

12 stycznia 1793 roku, o drugiej nad ranem, markiz przyjechał konno do zamku La Guyomarais, należącego do konspiratora o tym nazwisku. Zamierzał zabawić krótko, lecz niespodziewana choroba zatrzymała go najpierw w łożu pałacowym, potem w łóżku chłopskim, bretońskim, przypominającym ustawioną na boku, szczelnie zamkniętą szafę. Dopływ powietrza zapewnia tam wąski i długi, prostokątny otwór, biegnący pod górną krawędzią sprzętu, zaopatrzony w balaski. Ludzie nie tylko śpią, lecz i rozbierają się do snu w ciemnym wnętrzu. Funkcjonariusz muzeum nantejskiego, zapytany o powód takiego postępowania, odpowiedział zwięźle: — Par pudeur.

De la Rouairie wrócił do pałacowych wygod z chaty chłopskiej, gdzie go doraźnie ukryto przed żandarmami republikańskimi. Powoli powracającemu do zdrowia jeden z towarzyszy codziennie odczytywał gazety. Pewnego wieczoru szósty zmysł konspiratora wyczuł widocznie zmianę w zachowaniu się otoczenia. Skarżąc się na pragnienie, rekonwalescent przerwał nagle lektorowi, wysłał go po napój. Chcąc nie chcąc człowiek wyszedł, odkładając pismo na gzyms kominka. Po chwili roz-paczliwy krzyk poderwał na nogi domowników. Nieprzytomny markiz tarzał się w konwulsjach po dywanie, wołał o konia i broń. Nie odzyskał już świadomości, zmarł 30 stycznia nad ranem. Na miejscu, gdzie go pochowano, stoi dziś żelazny krzyż, na którym oprócz nazwiska i daty zgonu widnieją jeszcze słowa: "Chorobą, która go zabrała, była wierność".

Po wyjściu lektora z pokoju eks-więzień Bastylli sam sięgnął po gazetę i przeczytał to, co przed nim tajono. Pismo zawierało wiadomość o ścięciu Ludwika XVI, opis egzekucji.

Mieści się w granicach tak zwanej prawidłowości, że arystokrata zwalcza królewskie pomysły ograniczenia przywilejów. Nagła zmiana frontu również nie jest niczym nadzwyczajnym. Konstytuanta uchwaliła wszak całkowite zniesienie praw feudalnych. Z pobudek klasowych można prowadzić taką czy inną politykę, spiskować, popychać do wojny domowej, nawet oglądać się na pomoc zagranicy. Z pobudek klasowych nie dostaje się jednak zazwyczaj wstrząsu nerwowego, zakończonego śmiercią.

Dla markiza de la Rouairie i dla milionów innych Francuzów rozmaitego stanu królewskość była świętością. Sam ustrój określało się jako "la monarchie de droit divin". Najistotniejszym obrzędem koronacji było pomazanie olejami świętymi (i nic nie znaczyła wiedza o tym, że podczas sakry Karola VII zawierającą je ampulkę trzymał marszałek Gilles de Rais). Patriotyzm, uczucie zrodzone z konkretnego i na nim polegające, u wielu odnosiło się przede wszystkim do osoby panującego. Ona była widowym, żyjącym symbolem narodu, zwornikiem ponad wszelkie nasze wyobrażenie zróżnicowanej całości.

W początkach roku 1789 w miejscowości Vitrolles-les-Martigues uchwalono jawnie i oficjalnie, że król Francji będzie uznawany w Prowansji nie inaczej niż jako jej hrabia. Jednocześnie w Scaer koło Concarneau nakładano na delegatów do Stanów Generalnych obowiązek baczenia — pod groźbą infamii! — by nie stała się najmniejsza krzywda warunkom zjednoczenia księstwa Bretanii z koroną francuską, paragrafom układu małżeńskiego księżniczki Anny. (Poślubiła ona, jak wiadomo, najpierw Karola VIII, a po jego rychłej śmierci — Ludwika XII; pierwszy z tych związków zawarto na rok jeden przed odkryciem Ameryki przez Kolumba, drugi w siedem lat po tym pamiętnym wydarzeniu). Mieszkańcy St-Aignan — położonego w dzisiejszym departamencie Tarn-et-Garonne — ślali

pod stopy monarsze oryginalną prośbę: niechże wreszcie obywatele Langwedocji przestaną traktować ludzi z Guenny jak nieprzyjaciół, niechaj ustaną rozmaite kosztowne “przedsięwzięcia kryminalne” nad brzegami Garonny.

Parafianie z najrozmaitszych odciętych od świata zakątków, owych republik autonomicznych mających za centrum dzwonnice kościelną, oczekiwali ratunku i pomocy od króla. Na swój niepojęty dla nas sposób uznawali go za władcę całej ojczyzny. Zaryzykować wolno twierdzenie, że ich staroświecki patriotyzm o wiele łatwiej było obrazić niż nam współczesny. Wystarczyło naruszyć tradycje regionu, ojcowizny, któregośkolwiek ze składników mozaiki państwowej. W tych rachunkach nie tylko Anglik lub Niemiec mógł być łatwo uznany za wroga kraju.

Ani wątpić, że ten system państwowy nadawał się już przede wszystkim do muzeum. Przenosin dokonano jednak w sposób aż zanadto bezceremonialny. Pogwałcono granicę, jaka oddzielać musi zawsze niezbędne reformatorstwo od doktrynerstwa ożenionego z żądzą pełni władzy.

Wystawa “Parvis de Notre-Dame”, której zawdzięczałem możność obejrzenia czcigodnego szkiełka z IV stulecia, prezentowała również smutną pamiątkę po daremnych wysiłkach zdrowego rozsądku. Był to pokaźnych rozmiarów afisz, 14 lutego 1790 r. wydrukowany przez policję na zlecenie mera Paryża. Mieszkańcy miasta zostali wezwani do iluminowania domów, a to z racji uroczystego *Te Deum* w katedrze, które miało /ostać odśpiewane na znak wdzięczności Bogu za “ścisłą unię Monarchy z Narodem”. Nabożeństwo rzeczywiście odprawiono w obecności Ludwika XVI i Marii Antoniny. Było to już po zburzeniu Bastylii, Deklaracji Pmw, obaleniu przywilejów feudalnych, po ustawie o nowym podziale administracyjnym, lecz przed nieszczęsną “konstytucją cywilną kleru” oraz innymi ideologicznymi zбочeniami. Gdyby sprawy potoczyły się w tym duchu, którym tchnął ów afisz, nie doszłoby pewnie do takich osobliwości, jak okrzyki: “precz z narodem!”, wznoszone w Machecoul. Napoleon Bonaparte nie zostałby cesarzem, a Francja nie straciłaby raz na zawsze rangi pierwszego mocarstwa na Zachodzie. Pewnie ona, zamiast Anglii, zapanowałaby nad morzami.

Historyczną rację mieli zapewne tacy ludzie, jak Mirabeau, bracia Lameth, Du Port, Barnave, co chcieli w roku 1791 zatrzymać rewolucję, to znaczy w monarchii konstytucyjnej ustabilizować jej najważniejsze, jak najbardziej zdolne do dalszej ewolucji zdobycze.

Nie wiadomo, czy markiz de la Rouairie był jedynym Francuzem, którego nerwy nie wytrzymały wstrząsu. Louis Blanc, autor nie podejrzany o monarchistyczne sympatie, umieścił w swym dziele raport 24 stycznia 1793 roku wysłany przez urzędnika z

Sables-d'Olonne do władz departamentu Wandei : “Ogłoszenie o osądzeniu Ludwika Capeta zostało wczoraj bardzo źle przyjęte. W Klubie Przyjaciół Wolności pewne osoby nie zawahały się nazywać zbrodniarzami prawodawców, którzy skazali Ludwika na śmierć. Dzisiejszego rana wszystkie twarze nosiły wyraz posępny i skoncentrowany; po wybrzeżu krążyły grupy bardzo podnieconych marynarzy, od czasu do czasu widziało się tam groźne gesty. Po wsiach wyrok wywrze wrażenie jeszcze gorsze... Trzeba czuwać”.

Trzeba było czuwać również nad granicami, bo się poprzednio wypowiedziało wojnę, i po raz pierwszy w dziejach Francji wziąć przymusowo pod broń tysiące chłopów, rozjątrzonych właśnie do żywego. Okoliczności zmusiły Konwencję do wezwania na pomoc... wielkiej masy gruntownie niezadowolonych ludzi.

Wypadnie raz jeszcze powrócić do zamku La Guyomarais, bo doszło tam do rzeczy zasługujących na uwagę i zgodnych z niektórymi wyrażonymi poprzednio domysłami.

Cmentarz parafialny znajdował się w miejscowości strzeżonej przez żandarmów, zwłoki markiza de la Rouairie pochowano więc cichaczem, nocą, w lasku przylegającym do ogrodu pałacowego. Zasypano je obficie niegaszonym wapnem, lekarz dokonał na trupie głębokich nacięć, by przyspieszyć rozkład. Towarzysz i sługa zmarłego — ów właśnie niefortunny lektor nazwiskiem Saint-Pierre — przeniósł się do innego ogniska konspiracji, do zamku Fosse-Hingant. Napotkał tam znanego sobie od dawna, cieszącego się pełnym zaufaniem spiskowca, doktora Chévetel. Opowiedział mu o wszystkim, co zaszło. Nie wspomniał jedynie o miejscu zakopania zwłok, gdyż nie był obecny przy pogrzebie.

25 lutego nad ranem żandarmeria i gwardia narodowa zapełniły pałac La Guyomarais. Dr Chévetel był w konspiracji uchem i okiem Dantona. Złożył doniesienie zaraz po wysłuchaniu zwierzeń zrozpaczonego Saint-Pierre.

Rewizje i przesłuchiwanie domowników nie przynosiły pożądanego przez władze rezultatu. 26 lutego, wczesnym porankiem, gdy cała rodzina właściciela zgromadzona była w pokoju parterowym, szef poszukujących zwrócił się do pani de la Guyomarais:

— Obywatelko, nasza misja jest skończona, czy nadal twierdzisz, że były markiz de la Rouairie nie znalazł schronienia w tym domu?

Zanim zapytana zdążyła coś powiedzieć, potoczyła się jej pod nogi dobrze już pewnie nadżarta przez wapno głowa ludzka, wrzucona przez otwarte pchnięciem od zewnątrz okno. Żandarmom udało się spoić i przekupić ogrodnika, który wskazał grób.

Normalnym już wtedy, z Paryża się wywodzącym obyczajem, zatkniętą na bagniet głowę markiza obnoszono tryumfalnie po całym pałacu z przyległościami. W doszczętnie obrabowanym domu pozostały tylko dwie córki państwa de la Guyomarais. Ich rodzice,

bracia i domownicy, wraz z ogrodnikiem-donosicielem, powędrowali do miasta pod konwojem. Mężczyźni szli skuci wspólnym łańcuchem. 18 czerwca ścięto w Paryżu wszystkich: równy tuzin osób.

Wieści o wypadkach tak malowniczych, jak argumentowanie przy pomocy wrzuconej nagle przez okno głowy trupiej, rozchodzą się zazwyczaj dość szeroko i w odpowiednim upiększeniu. Barwy opowieści gęstnieją zamiast blednieć.

Koszmary z La Guyomarais zaliczyć należy po prostu do bardzo bogatego cyklu przygrywek. W rozmaitych wariantach powracał ciągle w tej muzyce główny motyw “krwi nieczyste”, której rozlewaniem wolno i należy się chełpić.

Bez zegara nie ma historii, powtórzmy. Wszystko to działo się przed rozpaczliwym porywem chłopów wandejskich.

Opisy okrutnych wydarzeń przeszłych przeżywa się mimo wszystko tak samo jak lekturę powieści. Można zapamiętać fakty, oburzać się nimi, wydatnie wzbogacić wiedzę o rozmiarach strefy możliwości ludzkich. Z reguły braknąć musi motywu, który najsilniej oddziaływał na świadków, czyli ludzi współczesnych owym wypadkom. Poczucia krzywdy osobistej, wynikłej z obrazu żywych umiłowań, a chociażby nawet z lęku... jedynie.

Uporządkowany pięknie, wymuskany cmentarz paryski Chapelle expiatoire mieści groby Ludwika XVI i Marii Antoniny, mogiły wielu innych ofiar terroru, wśród nich samej Charlotty Corday. Ani mgiełki tam z tych mrocznych pasji, które uzbroiły ją w nóż.

W Conciergerie, w celi królowej, przewodnik zatrzymuje się przed tablicą pamiątkową, poświęca sporo czasu na opowiadanie o cierpieniach Marii Antoniny. Potem oszczędnym gestem wskazuje sąsiednią komorę i powiadamia jednym zdaniem, że tam spędził noc przedśmiertną Danton. Ciekawy sposób postępowania w państwie, które całe wachlarze i pęczki trójbarwnych, wiec rewolucyjnych sztandarów codziennie umieszcza na byle komisariacie policji, a swój republikański porządek i frazeologię wywodzi raczej od Dantona niż od Ludwika. Pogardliwy gest stróża zabytku można zresztą uważać za dodatkową atrakcję, za sensacyjny towar, przeznaczony dla międzynarodowej publiczności. Lecz jeśli nawet lekceważenie pamięci trybuna jest szczerze, to cele Conciergerie uległy jednak gruntownemu przewietrzeniu, aczkolwiek przewinęło się przez nie około dwóch tysięcy trzystu osób skazanych na gilotynę. Już raczej gdzie indziej niż tam szukać należy prawdy o odczuciach sprawców obydwu terrorów.

Ryzykuję twierdzenie, że jedna tylko kategoria pamiątek i dziś jeszcze prowokuje widza do zaciskania szczęk w paroksyzmie złości.

Zauważywszy cudzoziemców, proboszcz w Issoire zaprowadził nas przed

średniowieczny fresk, przedstawiający Sąd Ostateczny, i w jego obliczu uraczył oracją tej treści:

— Oglądacie państwo romańskie kościoły Owernii, to znaczy najpiękniejszą architekturę we Francji, to znaczy największą architekturę świata...

Mało widziałem, doszedłem jednak do nieśmiałego wniosku, że jeśli pasterz z Issoire pomylił się, to chyba niezbyt znacznie. Zbliżać się do jego przekonań zacząłem zresztą nieco wcześniej, w Clermont-Ferrand, stanąwszy pod kościołem Notre-Dame du Port. Nieustanne zmiany gustów ludzkich sprawiły, że z dwu bocznych, w tej samej ścianie umieszczonych portali jeden tylko zachował styl dawny, gdy drugi przybrać z czasem zdążył kształt gotycki. Tak bliskie sąsiedztwo dwóch porządków architektonicznych pozwoliło utwierdzić się w błuźnierczym sądzie, że tanio efekciarski, nowobogacki — chciałoby się rzec — bywa gotyk.

Kamienne figury wypełniające tympanon portalu romańskiego były kalekie. Dłuta i młoty cnotliwych czcicieli Rozumu pozbawiały je głów.

Liczne książki opisują pożałowania godny stan, w jakim paryska Notre-Dame wyszła z doby Wielkiej Rewolucji. Przypominają o pomyłce, polegającej na uznaniu rzędu figur nad głównym wejściem za wizerunki tyranów, czyli królów Francji. Zasługiwały one oczywiście na ściągnięcie z wysokości przy pomocy lin i na utopienie w Sekwanie. Rany stołecznej katedry, rozślawnionej przez Wiktora Hugo, zaleczył w XIX stuleciu Viollet-le-Duc. Prowincja po dziś dzień prezentuje kikuty, szczyby, świadectwa obłędu. Tak się do nich przywyka, że zaskoczenie stanowi czasem widok rzeźb całych, głów posągowych pozostawionych na właściwych miejscach. Około jednej trzeciej zabytków sztuki przepadło lub ucierpiało w czasach, o których się tutaj rozprawia.

Nazajutrz po zwiedzeniu Clermont-Ferrand trafiliśmy do Millau. Znacznie więcej czasu zużyć musiał na tę samą podróż papież Urban II, który w roku 1095, ogłaszając pierwszą krucjatę, bawił w obu tych miejscowościach. Kościół w Millau szczyił się już wtedy niejaką patyną, gdyż liczył sobie około dwustu lat. Rewolucja postąpiła z nim podobnie jak z tylu innymi we Francji. Obłupiła gruntownie, sprofanowała, obróciła na świątynię Rozumu. Swoboda kultu powróciła wraz ze zdrowym rozsądkiem, za Napoleona:

Dla ludzi władza Korsykanina, “niewolnika prawa dedukcji”, oznaczała cykl krwawych wojen. Mnóstwu czcigodnych zabytków francuskich przyniosła bezpieczeństwo.

Nagła ulewa nie pozwoliła nam na podziwianie od zewnątrz słynnego kościoła w Brou, znajdującego się na przedmieściu Bourg. Przyszło co sił w nogach pędzić do wejścia, kryć się w nawie i obejść się tam, niestety, bez możliwości oglądania witraży prześwieconych słońcem. Wiele starych budowli we Francji nie dostępuje łaski tak zwanej “klasyfikacji”,

zastrzeżonej dla cenniejszych zabytków. Podobizna tego kościoła trafia nawet na znaczki pocztowe. Dość szczególne okoliczności sprawiły, że doznał on nielicznych tylko uszkodzeń.

Wiktor Nodet, autor poświęconej mu książki, opowiada p trudnościach, jakich doznali budowniczości na początku XVI wieku. Bloki marmuru kararyjskiego należało wieźć od ujścia Rodanu aż tutaj, krajem miejscami mocno górzystym. Przeszkadzały epidemie i straszniejsze od nich przemarsze żołnierzy króla Francji. Dopiero w 1601 roku bowiem Paryż podporządkował sobie ten region, stanowiący poprzednio domenę książąt Sabaudii “Ostatni kwiat gotyku” rozkwitł w Brou pod ręką artystów przede wszystkim flamandzkich, z których naczelnym zwał się Loys van Boghenri:

Znać istotnie, że to ostatni, czy też jeden z ostatnich kwiatów. Gotykiem sięgnął tutaj samiutkich chyba granic, za którymi kończy się artyzm. Ma rację Wiktor Nodet, gdy, opisując sławne grobowce książąt sabaudzkich, dyskretnie wspomina o “szale dekoratorskim” i o “akrobatyce dłuta”... Przewodnik pochyla się nad jedną z figurek zdobiących sarkofag-Oblicza marmurowego żałobnika nie widać, zakrywa je krawędź głęboko nasuniętego kaptura. Światło z latarki elektrycznej, podstawione lusterko — i już można przypatrzeć się wyczelowanej szczegółowo twarzy. Trochę mi to przypomniało oglądane ongi w muzeach chińskich rozmaite cudeńka, do których kontemplacji koniecznie potrzebna była lupa.

W początkach rewolucji, gdy zdążyła już zniknąć kryta cynkiem kopuła kościoła, mieszczanin miejscowy nazwiskiem Riboud zdołał przezornie przekonać władze o konieczności upaństwowienia całej budowli. Zaraz potem uznano ją za nadającą się doskonale na skład furazu. Departament Ain leży na wschodzie Francji, front był blisko, konie zaś odżywiają się na szczęście substancjami miękkimi i sypkimi. Dzięki tej przyrodniczej okoliczności ocalały zarówno świetne witraże, jak odmaterializowane wręcz rylcami marmury.

Ale w Autun już tylko gablota muzealna mieści to, co pozostało z krucyfiksu św. Odon, wykonanego w stuleciu DC. Głowę i fragment ramienia... Szczegół świadczy o arcydziele, lecz go nie zastąpi.

Tam i przed tyłu innymi pociemniałymi już, a mimo to ciągle świeżymi bliznami dzieł sztuki doznaje się poczucia krzywdy osobistej, wyrządzonej przed stu kilkudziesięciu laty. Pytania: “po co?” i “jakim prawem?” — nie płyną tym razem z filozoficznej zadumy. Dyktuje je gniew człowieka obrabowanego.

Naoczni świadkowie wydarzeń rewolucyjnych oglądali to także, o czym nam opowiedzieć mogą najwyżej ryciny. Poprzywiązywane do oślich ogonów, wlokące się po

bruku krucyfiksy, błazeńskie procesje, fety Rozumu w nawach świątyń chrześcijańskich. Stary porządek usuwano tak, jakby szczęście ludzkości musiało się koniecznie zacząć od jak najboleśniejszego sponiewierania ludzkich uczuć.

Żadnemu z owych świadków nie było przy tym tajne, że to mniejszość, zdecydowana mniejszość Francuzów, wsparta ochoczo przez pokaźną ilość cudzoziemców, tak sobie poczyna z sentymentami większości. Kto pragnął uzyskać opinię lojalnego obywatela, ten winien był nie tylko pozwalać na wspomniane procedery, lecz manifestować radość, że oto nareszcie depce się i opluwa wszystko, co dotychczas kochał. Tak bowiem zamarzyło się nielicznej grupce mężów, powołanych przez Rozum w ich właśnie osoby wcielony, do wyprostowania historii.

Francja ówczesna padła ofiarą zбочzenia, które grozi ogółowi chyba nieustannie, lecz na szczęście zapanować nad nim może tylko w okolicznościach szczególnych, zdarzających się dosyć rzadko. Nieustannie wszak snują się po tym padole przejęci pogardą dla jego nielogicznych urządzeń teoretycy, posiadacze nieomylnych recept zbawienia. Ta właśnie skłonność ludzka — zabawna, dopóki się przejawia w piwiarniach lub w klubach towarzyskich, w czytelniach bibliotek, niekiedy irytująca — staje się śmiertelnie niebezpieczna, gdy kapryśny zaiste bieg dziejów chociażby przypadkiem odda prorokowi lub całej grupie wizjonerów — władzę. Najpierw służy ona do narzucania programu przemocą, w krótkim czasie zajmuje po prostu jego miejsce. Człowiek bywa najczęściej bezbronny wobec własnego przywileju. Nie może być przywileju większego niż moc absolutnego podporządkowania sobie innych ludzi, zadawania im cierpień.

Wybitny rosyjski mąż stanu, hrabia Sergiusz Witte, napisał w pamiętniku, że każdemu politycznemu nieukowi wszystko zawsze się wydaje proste i jasne. Niebezpieczeństwo przymusowego zbawiania tym jest większe, im kultura niższa. Zapoznaje ona przecież z pojęciem względności spraw ludzkich.

Upłynęło wiele niełatwych wieków historii, zanim w niektórych — nielicznych! — krajach na globie przemogło przekonanie, że można z pożytkiem reformować politykę, gospodarkę, społeczeństwo, uprawiać nawet naukę, nie wypowiadając się wcale na temat istnienia Boga, Jego natury i atrybutów. Gdzie indziej jednak aż do dni naszych dotrwała teza, iż nie wystarczy wierzyć lub nie wierzyć, gdyż należy to jeszcze czynić w sposób przepisowy.

We Francji rewolucyjnej najpierw wprowadzono do katedry Notre-Dame tłustawą aktorkę, by symbolizowała boginię Rozumu. Wkrótce potem kult ten uznano za nieprawidłowy, głównych jego szermierzy poskracano o czerepy, po czym urządzono wielkie święto nie określonej bliżej Istoty Najwyższej. Nie wińmy jednak za to Woltera, który

Kościół katolicki wprawdzie nienawidził, lecz wcale nie wzywał do wydzierania ludowi jego wiary.

Żaden z największych racjonalistów nie dożył rewolucji, nie mógł więc wstąpić na szafot. Wystarczy, że znalazł się tam Lavoisier, wystarczająco samobójstwa Chamforta i Condorceta.

Pokaleczone dzieła sztuki widnieją przeważnie w kościołach. Wiek się w tym rozdziale rozprawia o kwestiach religii, co może prowadzić do fałszywego wrażenia, że one właśnie stanowiły główny motor poruszeń kontrrewolucyjnych. W gruncie rzeczy zaś porwanie się na wiarę, jej pomniki i symbole stanowiło tylko szczyty o wiele rozleglejszego absurdu. Akcja ta pozostawiła przy tym ślady do dzisiaj widoczne, aż nazbyt namacalne, akurat takie, jakich potrzeba temu, co pragnie sam sobie unaocznic dawne sprawy.

Łatwo wysunąć przeciwko tym wywodom zarzut formalny, stwierdzając, że daty wielu zniszczeń są późniejsze od dnia wybuchu powstania wandejskiego. Odnosi się to także do święta bogini Rozumu i do uroczystości ku czci Istoty Najwyższej. Wielu Francuzom ówczesnym najzupełniej wystarczyła jednak sama uwertura, nie musieli koniecznie czekać z protestem czynnym, aż zaczną się gwałcić kobiety na ołtarzach kościelnych, co Wanda zobaczyła istotnie późno, bo na początku 1794 roku dopiero. Początek prześladowań, ograniczeń, niesprawiedliwości bardzo jaskrawych, rabunków i profanacji przypadł na czasy o całe trzy lata wcześniejsze. Łatwo było odgadnąć, ku czemu idzie, dowiadując się o morderstwach masowych, albo i patrząc na nie.

Straszny obóz zagłady dla opornych księży powstał w Rochefort-sur-Mer jesienią 1792 roku. Wtedy również paryska Notre-Dame pozbyła się iglicy.

Powróciwszy 7 lutego 1793 roku z frontu wschodniego do Paryża, Danton dowiedział się, że od tygodnia jest wdowcem. Trybun rozpaczał bardzo, kazał ekshumować zwłoki, zrobić odlew gipsowy z twarzy nieboszczki. W cztery miesiące później ożenił się z przyjaciółką zmarłej. Na stanowcze żądanie narzeczonej państwo młodzi wzięli ślub kościelny, aczkolwiek Francja oficjalna wstąpiła już w okres dechrystianizacji, zwalczała również duchownych zaprzysiężonych, lojalnych. Kilka miesięcy wcześniej Danton patronował rzeziom wrześnieowym 1792 roku, kiedy to w samym Paryżu wymordowano bez sądu dwustu kilkudziesięciu księży.

Uszanowano wierzenia szesnastoletniej Lucille, odmówiono tej łaski przekonaniom milionów jednomyślnych z nią Francuzów.

Nie o to tylko chodzi, że brutalnie potraktowano jeden ze składników dawnego porządku. Za tym samym zamachem naruszono cały układ stosunków międzyludzkich,

wynikły nie ze współżycia, lecz z organicznego zrostu wielu elementów. Porównywano kiedyś obrazowo ład społeczny do nieszytej sukni Chrystusowej, gdyż wystarczyłoby zerwać w niej jedno oczko, by cała tkanina się spruła. Tak prawdopodobnie rozumowały i — co w danym wypadku ważniejsze — odczuwały tłumy kontrewolucjonistów. Czy słusznie? Kto i kiedy dowiódł, że tylko słuszne przekonania tworzą dzieje?

Należy dochować wierności metodzie szukania dowodów materialnych, widocznych.

Proboszcz z Issoire udzielił nam na drogę paru pouczeń. Doradził, gdzie zajrzeć i co zobaczyć. Posłuszni tym wskazówkom, znaleźliśmy się w Auzon, przed kolegiatą św. Laurentego, znowu zatem w obliczu owerniackiej romańszczyzny, spatynowanej na różowo przez osiem stuleci, w miasteczku maleńkim, sennym, górzystym, pełnym dziwnych zakamarków i nieodgadnionych ruin. Mieszkańcy stroją tam fasady i przedproża swych domów, hodując kwiaty w pięknych kotłach żelaznych, tych samych, co zwisały dawniej nad paleniskami ognisk, w nieprzeriośnym tych słów znaczeniu rodzinnych. Pośrodku placu miejskiego, który ongi był cmentarzem, kamienny kościół wspina się w górę z cokołu potężnie obmurowanej skały. Wchodzi się przez drzwi, całe okute żelazną koronką z XII wieku, i wkracza do muzeum, jakich niewiele chyba na tym padole, Ekspонатów tam kilkadziesiąt zaledwie, lecz wszystkie na swoich właściwych miejscach, wiec żywe.

W bezpośrednim sąsiedztwie ogromnego, brakiem wszelkiego sztukmistrzostwa wręcz onieśmielającego krucyfiks i romańskich kapiteli — rzeczy równie starych, jak okucia drzwi — poniżej fresków z XIV wieku znajduje się tam figura znacznie młodsza, bo pamiętająca zaledwie czasy Ludwika XIV lub jego ojca, i dziwna, dla niewtajemniczonego umysłu po prostu egzotyczna — w świątyni. Malowane, prymitywnie rzeźbione drewno przedstawia brodatego, lecz młodego jeszcze wieśniaka o dużych, spracowanych dłoniach. Osobnik ów ma na sobie długi, fałdzisty u dołu, ściśnięty szerokim pasem kaftan bez rękawów, bufiaste spodnie po kolana, dzierży masywny nóż, od przegubu lewicy zwisa mu torba. U ciężko obutych stóp leży baryłka z czopem. Głowę okrywa szeroki i sztywny, chroniący przed promieniami słonecznymi kapelusz. Żadnego emblematu religijnego nie widać. Spojrzenie ziemskie, rzeczowe, nieco zatroskane. Zupełnie jak u gospodarza, który stanąwszy rano na miedzy swego pola zauważył, że coś jest nie całkiem w porządku.

Figura ta, napotkana nie w kościele, lecz w antykwariacie, kusiłaby do nabycia na własność, a więc do grzechu, w nomenklaturze chrześcijańskiej zwanego symonią. Przedstawia ona bowiem świętego Very, patrona winnic miejscowych.

Popróbujmy zrozumieć i uznać bez zastrzeżeń, że kiedyś zanoszono do niej szczere

modły, a zbliżymy się wspólnie do wyobrażenia o trudnościach, jakie nastęcza próba rozwikłania tematu niniejszego szkicu.

Prymityw z Auzon stał się w moich oczach wprost symbolem starego porządku. I to nie politycznego wcale, który reprezentować mogą Blois, Wersal, czy inne zamki monarsze. Zrozumiałego tłumom, bo przy ich bezpośrednim współdziałaniu stworzonego porządku na co dzień — społecznego i moralnego zarazem. By uformować takie wyobrażenie patrona roli miejscowej, wiara, obyczaj, praca i szacunek dla niej musiały przeniknąć się nawzajem w przeciągu stuleci, stworzyć jakość, wartość, syntezę. Był żywy i realny, skoro dowiedziono, że ludzie go kochali.

Prymityw — tak, tego słowa należało koniecznie użyć, ponieważ odgradza ono od podejrzeń o nostalgię.

Wbrew argumentom wysuwanych przez świetnych nieraz pisarzy nie zamierzam przyłączać się do obozu przeciwników Wielkiej Rewolucji. Usiłuję tylko od tego, co w niej było naprawdę wielkie, oddzielić straszne skutki zarozumiałej tępoty, przystrojonej w kostium wizjonerstwa. Można zrozumieć tych Francuzów, którzy nie potrafią przeboleć faktu utracenia przez ich ojczyznę rangi pierwszego mocarstwa Zachodu. Istnieje jednak inny jeszcze punkt widzenia. Kontynent żądał od Francji, kraju kulturalnie przodującego, wytyczenia nowych dróg. Zburzenie Bastylii, Deklaracja Praw odezwały się głośnym i radosnym echem w stronach dość odległych od Paryża — w Petersburgu i w Warszawie. Ta ostatnia pospieszyła nawet pierwsza ustawić się w kolejce po dobry przykład, co równało się próbie przeszczepienia z racjonalizmu się wywodzących zasad w centrum i na wschód Europy. Jakże potępić dzieło, które okazało się zdumiewająco płodne, podatne na ewolucję, przyswajalne w rozmaitych odmianach? Komfortowe XIX stulecie, no i to także wszystko, czego nie potrzebuje się wstydzic wiek XX, wspierało się na francuskiej, rewolucyjnej podbudowie. Inna rzecz, że fundament ów zupełnie niepotrzebnie został aż tak bardzo przepojony krwią.

Na początku 1789 roku tłumy ludzi wyłożyły na stół swoje tylekroć już tu wspomniane skargi. Przywykło się widzieć w tym fakcie jeden wielki, zbiorowy protest przeciwko przeżytkom feudalizmu. W Saint-Hilaire-les-Rouen stwierdzano, że przedzenie bawełny i wełny zatrudnia wieki mieszkańców parafii, zapewnia im utrzymanie, lecz Jeśli będzie się dopuszczano do zakładania przedzalni mechanicznych i jeżeli się nie zamknie już istniejących” — nastąpi nędza. Gdzie indziej wyrażano się jeszcze dobitniej : “Zburzyć wszystkie mechaniki, jakie tylko istnieją!” Wcale nieźle, jak na przedproże pierwszej rewolucji przemysłowej. James Watt wynalazł już był maszynę parową. Również i ułatwienia

komunikacyjne nie wszędzie budziły entuzjazm. W Gaskonii zalecano więc, aby w przyszłości nie budować już tak wielu i równie jak dotychczas szerokich dróg. Niektórzy znów dopatrywali się istnej kary Bożej w pewnym imporcie amerykańskim: “Choroby epidemiczne, pomory bydła, całkowita ruina wielkich obszarów Lotaryngii oto nieszczęścia spowodowane przez ziemniaki”. Ograniczyć więc ich uprawę do minimalnych rozmiarów! Ochrona lasów, oranie nieużytków i ugorów również znajdowały wśród ludu licznych i namiętnych przeciwników. Należy zmniejszyć liczbę Żydów w Alzacji, potrzebne więc jest prawo pozwalające żenić się tylko najstarszemu synowi w każdej ich rodzinie — wywodził kler z Kolmaru i Schlestadtu.

Zgromadzenie Konstytucyjne i nowe władze musiały, stanowczo musiały przepoić goryczą serca tysięcy parafian, wydać rozporządzenia wręcz przeciwne treści niektórych “Kajetów skarg”. Opowiedzieć się po stronie nowoczesnej maszyny, przeciwko kołowrotkowi. Wydaje się jednak, że niezbyt starannie wsłuchały się te władze w ton, w nastrój moralny ogółu raczej postulatów. Pisano więc na przykład: “Człowiek, który ma zaszczyt wybierania przedstawicieli swej parafii, swego miasta lub prowincji, naszym zdaniem, słabo nadaje się do robienia ze siebie śmiesznego widowiska, brnąc przez fosę pełną wody lub klękając przed spróchniałymi wrotami, by pokornie ucałować brudną i zardzewiałą kołatkę”. Plebsowi dolegały nie tylko materialne obciążenia, wynikające z praw feudalnych. Powszechnie znienawidzone były tradycyjne oznaki zależności i poddaństwa. Takie, co oszczędzając kieszeń chłopa, raniły jego honor.

W pełnym bujnej zieleni bretońskim Combours stoi dziś pośrodku placu biały pomnik René de Chateaubrianda. Uczony badacz, nam współczesny, twierdzi, że ludzie miejscowi nie cierpieli swych dziedziców, ponieważ rozmiłowany w racjonalistycznych lekturach ojciec pisarza nader rygorystycznie pilnował przynależnych sobie uprawnień. Parafianie z Dol musieli co roku składać panu na Combours dań hołdowniczą — parc białych rękawiczek.

Poddani innych monarchów i szlachciców europejskich poczuliby się w siódmym niebie, gdyby wymagano od nich tylko tyle.

Żołnierz — biadano w Saint-Sauveur-le-Vicomte — podlega “tyrańskiej, haniebnej, poniżającej dyscyplinie; za byle wykroczenie skazuje się go na piętnaście uderzeń płazem szabli” (po tej części ciała, której się tu wymieniać nie będzie). “Sprawcy tej okrutnej dyscypliny zapożyczyli ją z Prus; ci tępi ludzie nie wyczuli różnicy, jaka zachodzi pomiędzy Francuzami a Niemcami; tym pierwszym przewodzi honor, naturalny sojusznik dobrze pojętej wolności... Drudzy, zbydlęceni przez niewolę, nie znają innych bodźców oprócz strachu przed bólem ; jednym słowem, geniusz francuski to nie niemiecki... chcieć prowadzić Francuzów po

niemiecku to rzecz równie śmieszna, jak wsadzać kawalerię francuską na woły”.

Nie ma żadnej wątpliwości— Francja wymagała gruntownej operacji reformatorskiej. Jednakże ci, co zabrali się do dzieła, za mało może pamiętali o tym, że operować przyszło materię wrażliwą, unerwioną lepiej niż jakakolwiek inna w Europie. Przyroda również uczestniczyła w przygotowaniu rewolucji, o czym, zgodnie z dziwaczną doprawdy skłonnością umysłu ludzkiego, stale skłonni jesteśmy zapominać. Teoretycznie rzecz biorąc, wszyscy wiedzą, że historia rozegrywa się na ziemi, lecz w praktyce mało kto bierze to pod uwagę. Natura—z przyczyn jej samej tylko znanych — okazała się bardzo niełaskawa dla Ludwika XVI. Ostatnich kilka lat przed rewolucją przyniosło dotkliwe cierpienia krajowi, w którym osiemdziesiąt procent mieszkańców żyło z roli. Pomory bydła, susze, okropna “zima stulecia”, ustępująca przed głodną wiosną wtedy właśnie, kiedy po miastach i parafiach spisywano “Kajety skarg”. Na przednówku i latem zabrakło mąki, bo nie było gdzie mleć ziarna. Wskutek upałów stanęły koła młynów wodnych i mało pomógł królewski rozkaz zamknięcia wszystkich fontann w Wersalu. Skrzydła wiatraków obracały się nadal, lecz w dość znacznej odległości od Paryża — przede wszystkim w Normandii. Zamiast błagać Niebiosa o łaskę i urządzać procesje biczowników lud stołeczny zdobył Bastylię. Uczynił to dokładnie wtedy, gdy ceny chleba osiągnęły rekord.

Głód popchnął również do rewolucji ludność Petersburga? Niewątpliwie! Zasadnicza, historyczna różnica pomiędzy dwoma wzmiankowanymi tu wstrząsami polega na tym, że pierwszy przytrafił się w lipcu roku 1789, drugi w marcu 1917.

Francja królewska nie była państwem w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, co zdążył zauważyć i stwierdzić minister Ludwika XVI, baron Turgot. Za to Francuzi pod rządami potomków Hugona Capeta zaczęli się zdecydowanie przetwarzać w ludzi nowoczesnych! Obca już im była niewolnicza bierność, czego niezbitym dowodem jest zarówno sama rewolucja, jak i kontrrewolucja wandejska.

Plebejski Francuz nie chciał już dłużej całować zardzewiałej kołatki zamkowej ani pokornie zanosić panu białych rękawiczek. W 1789 roku ruszył plądrować pałace, palić archiwa, w których zawierały się pergaminy praw feudalnych. Wandejczyk zachował się podobnie, kiedy nowa władza zaczęła mu niszczyć świat jego umiłowań, karczować obyczaj. Zabrakło zgody powszechnej na rolę personelu do obsługiwania... tych kolejnych kierunków, które chwilowo brały górę wśród nieustającej walki frakcji politycznych w stolicy.

Człowiek nie chciał stać się wobec nowej władzy osamotniony, wyzuty ze wszystkiego, co ukształtowało jego osobowość, moralnie obnażony, więc we własnych oczach godzien śmiechu i pogardy. Z rozpaczy porwał się do broni.

Oślabłe już ogromnie przyływy tegoż gniewu czuć dziś tam tylko, gdzie trwają i świadczą pokaleczone haniebnie dzieła sztuki, jednego z tych tworców historii, które nadają sens życiu ludzkiemu.

Literackie próby diagnoz to czynność dość zuchwała, skoro nauka dopiero zaczęła zgłębiać tajemnice wandejskie. Usprawiedliwiona może jednak częściowo nie tylko dlatego, że literatura zawsze uprawiała harce na przedpolu.

Kilka lat temu ukazała się w Paryżu książka Jakuba Godechot *La contre-révolution. Doctrine et action. 1789—1804*. Autor ustalił przede wszystkim rzecz niezmiernie ważną: żaden prawie z ideologów reakcji nie zmierzał do odbudowy starego porządku w całej jego pełni. Q ludzie też pragnęli reformować. “Doktrynerzy kontrrewolucji byli przeważnie rewolucjonistami na swój sposób”.

Wielu utalentowanych, sławnych pisarzy zwalczało rewolucję piórem, uzasadniało tak czy inaczej pojęty monarchizm. Józef de Maistre, Jakub Mallet du Pan, René de Chateaubriand... Losy programów, które ci ludzie reprezentowali, streszczają się dobrze w ramach przygody autorskiej Jakuba de Bonald. Przebywając na emigracji napisał on i wydał dzieło o tasiemcowym tytule: *Théorie du pouvoir politique et religieux dans la société civile, démontrée par le raisonnement et par l'histoire*. Był to wielki hymn pochwalny na cześć monarchii dziedzicznej oraz... gminy wiejskiej, jedynej — zdaniem myśliciela — organizacji społecznej zbliżonej do ideału doskonałości. Przekonania konserwatywnych chłopów doczekały się w(iec nie tylko chwalby, lecz i teoretycznego uzasadnienia.

De Bonald wydał swą książkę w Konstancji, w roku 1793, to znaczy wtedy, gdy powstanie wandejskie było już od dawna utopione we krwi, sam zaś region gruntownie spustoszony przez rewolucyjne “kolumny piekielne”. Pisarz powrócił wkrótce chyłkiem do Francji, gdzie mógł osobiście sprawdzić zasięg i wpływ swego utworu. Znajomy oficer policji zaprowadził go do magazynu druków skonfiskowanych. *Teoria* spoczywała tam spokojnie obok wierszy o treści pornograficznej. I wcześniejsze, i późniejsze usiłowania kontrrewolucyjne obeszły się doskonale bez niej.

Jakub Godechot to właśnie udowodnił ponad wszelką wątpliwość: akcja powstańcza zaczęła się bez żadnej w ogóle programowo sformułowanej doktryny. Nie na wiele by się zresztą przydały najstaranniej wydrukowane i bez żadnych nawet przeszkód rozpowszechniane wywody. Ustalono, że za Ludwika XVI większość mieszkańców Pomocy i Wschodu — od Normandii po Lotaryngię — umiała się podpisać. Inaczej działo się w Centrum, na Południu i na Zachodzie. Wojna domowa zaczęła się właśnie tam, w Wandei i w Bretanii, nad Atlantykiem, w ojcowiznach ludzi przeważnie niepiśmiennych.

Wojno jak najpoważniej wątpić, czy Jakub Cathelineau oraz jego sąsiedzi zgłębiali, zanim porwali się do broni, sławne dzieło Edmunda Burke, wydrukowane w Londynie już w roku 1790, lecz w języku, o którym świadczy tytuł: *Reflections on the Revolution in France...*

Filozofowie reakcji też pragną przerabiać stary porządek, są “rewolucjonistami na swój sposób”. Doktryny kontrewolucyjnej na razie brakuje, za to krwawa kontrewolucja ludowa staje się faktem.

Tego rodzaju splot zjawisk stanowi dla literata pokusę nie do przewyciężenia, usprawiedliwia chyba próbę odgadnięcia dróg ludzkich skomplikowanych odruchów “i obłądów.

2 sierpnia 1793 roku Konwencja ogłosiła lapidarny dekret: “Minister wojny wyśle do Wandei wszelkiego rodzaju materiały palne, a to w celu zniszczenia drzew, zarości i janowców. Lasy zostaną wycięte, schroniska buntowników zburzone, zbiory skoszone i wywiezione na zaplecze działającej armii, bydło domowe ulegnie konfiskacie. Majętności buntowników przejdą na własność Republiki. Kobiety, dzieci i starcy zostaną przeniesieni w głąb kraju, gdzie przez szacunek dla zasad ludzkości będzie się dbać o ich utrzymanie i bezpieczeństwo”.

Omawiając działalność Jana Chrzciciela Carrier w Nantes, już się coś niecoś powiedziało o sposobie wykonania humanitarnych przepisów. Tutaj zauważyć tylko wypadnie, że dekret Konwencji równał się właściwie wyrokowi śmierci na wszystkich młodych i w sile wieku będących wieśniaków wandejskich. Tego samego dnia — to znaczy 2 sierpnia — deputowany Barère uzasadniał wobec Konwencji potrzebę postanowień tak surowych.

— Zniszczcie Wandęę — wołał — a Valenciennes i Condé przestaną się znajdować we władzy Austriaka. Zniszczcie Wandęę i Anglik nie będzie już okupować Dunkierki. Zniszczcie Wandęę, a Ren zostanie oczyszczony z Prusaków. Zniszczcie Wandęę, Hiszpania zaraz poczuje niebezpieczeństwo... Zniszczcie Wandęę, a Lyon się nie oprze... Zniszczcie Wandęę, a ocalicie ojczyznę.

Bertrand Barère de Vieuzac był bardzo dobrym mówcą. Powstrzymał się od obciążania oracji imionami wszystkich ówczesnych wrogów Francji. Nie wymienił więc Portugalii, księstw całej Rzeszy Niemieckiej, Sardynii ani innych państw włoskich. Na początku 1793 roku utworzyła się pierwsza koalicja antyfrancuska, wszystkie granice Republiki stanęły w ogniu.

Historycy przyjmują, że przez szeregi powstańcze przesunęło się w Wandei około stu tysięcy mężczyzn. Osiem razy więcej mieszkańców liczył region objęty wojną domową. Dla jej stłumienia potrzebne były odpowiednio wielkie siły republikańskie. Mierzyć je należy dziesiątkami tysięcy wojowników.

Gdy Wandejczycy dopiero rozpoczęli akcję, 18 marca 1793 roku Francja doznała dotkliwej klęski na froncie północno-wschodnim, pod Neerwinden. Trzydzieści pięć tysięcy jej żołnierzy musiało tam stawić czoło pięćdziesięciu pięciu tysiącom Austriaków.

Łazarz Camot, “organizator zwycięstwa”, głosił akurat wtedy pryncypia strategii, tak

pięknie urzeczywistnionej wkrótce przez Napoleona. Pouczał o konieczności skupiania sił, tworzenia wielkich koncentracji, uzyskiwania przewagi w jednym określonym punkcie...

W dziewiętnaście lat później Napoleon rozkazywał pod Borodino stu trzydziestu sześciu tysiącom zbrojnych, będących wcale nie tylko Francuzami. Nie odniósł pełnego zwycięstwa chyba nie dlatego jednak, że miał katar. W decydującej chwili zawahał się, cofnął przed sięgnięciem po główny swój atut. “Nie wolno ryzykować ostatniej rezerwy, gdy się jest o osiemset mil od Paryża” — powiedział. Tą ostatnią rezerwą był korpus gwardii, składający się wyłącznie z żołnierzy wypróbowanych w wielu kampaniach. Liczył osiemnaście tysięcy ludzi.

Cesarz wielokrotnie rozvodził się nad bojowymi walorami Wandejczyków, szanował zarówno ich męstwo, jak umiejętności taktyczne. Biadał nad losem trzeciego z kolei dowódcy powstańców, Henryka de la Rochejaquelein, który poległ w dwudziestej drugiej wiośnie życia. “Do czego mógłby dojść...” — mawiał.

De la Rochejaquelein młodszy był od Ney, Masseny, Macdonalda, Murata, od wielu innych marszałków i od samego Napoleona. W roku 1812 miałby czterdzieści lat.

Francja sama sprowokowała i rozpoczęła cykl krwawych wojen, zakończony bitwą pod “Waterloo. O precyzji myślenia niektórych przywódców paryskich świadczy żywiona przez nich początkowo nadzieja, że na czele armii rewolucyjnej stanie książę Brunszwicki, człowiek masonerii, zajętej wszak od dawna głoszeniem religii Oświecenia, Rozumu i cnót wszelakich. Arystokrata ten ruszył, owszem, w pole, lecz jako wódz naczelny wojsk pruskich oraz austriackich i ogłosił nieszczęsny manifest, grożący Paryżowi zburzeniem, jeśli jakakolwiek krzywda spotka rodzinę królewską.

Te same zapęły, które skłoniły paryskich męnerów do rozpoczęcia wojny zewnętrznej, sprowokowały również wybuch domowej. Rzadko, doprawdy, da się równie jasno wykazać, ile może kosztować doktrynerstwo żadne niczym nie ograniczonego władania.

Trudno oponować Jakubowi Bainville, który uważa wypowiedzenie wojny w roku 1792 za błąd straszny, samobójczy. Lecz skoro wojna ta stała się faktem, jedynym racjonalnym postępowaniem mogło być już tylko skupianie sił, zaniechanie wszystkiego, co prowadziło do ich rozpraszania. Postąpiono na przekór temu programowi, niebezpieczeństwo zewnętrzne posłużyło wspomnianym przed chwilą męnerom za motyw w coraz to zacieklejszej walce o pierwszeństwo, o jedynowładztwo raczej. Piotr Gaxotte utrzymuje, że samą wojnę sprowokowano po to, aby podsycić wygasające we Francji nastroje rewolucyjne. Wkrótce nadejść miał taki czas, kiedy wieści o zwycięstwach wojsk francuskich stały się niewygodne dla dyktatora, któremu mit zagrożenia był potrzebny jako usprawiedliwienie

dyktatury.

Przyjmuje się, że w wojnie wandejskiej straciło życie około dwustu tysięcy ludzi. Trzy czwarte ogólnej liczby ofiar stanowić mieli zdolni do noszenia broni mężczyźni.

Interesujące, kto i w jaki sposób podsumować by zdołał straty przy zdobywaniu wyspy Noirmoutier, na przykład. Operacje nosiły częściowo charakter desantu, odbywanego podczas przyływu oceanu. Istnieli wówczas zamiłowani rachmistrze, o jednym z nich wspominają nawet dzisiejsze przewodniki turystyczne. Generał republikański Grignon, poprzednio handlarz bydłem domowym, prowadził dokładnie wykazy straconych przez jego oddział buntowników. Rekord padł w okolicach Bressuire, kiedy to w przeciągu jednego dnia egzekwowano dwustu Wandejczyków.

Bywały jednak raporty, w których autorzy wprost pisali, że nie sposób policzyć trupów leżących w zbożu, po chaszczach i wysokich trawach. Takie właśnie sprawozdania wydają się najbliższe prawdy. One przedstawiają nam bilans nie podlegający zakwestionowaniu. Mówią przecież o zapamiętałym, ślepym marnotrawieniu się wzajemnym najlepszych sił francuskich.

W sierpniu 1793 roku Konwencja Narodowa miała wszystkie powody do zaniepokojenia.

W marcu pierwsza wiadomość o rozruchach zastała Jakuba Cathelineau przy czynności jak najbardziej pokojowej, mianowicie przy zagniataniu mąki na chleb. Gospodarz otarł ręce i poprowadził sąsiadów na pobliskie miasteczko Saint-Florent. W końcu czerwca tegoż roku Jakub Cathelineau, wódz powstańczy, na czele potężnych sił zaatakował Nantes, wielki port atlantycki.

Wandejczycy już byli wtedy nawykli do zajmowania miast znaczniejszych nieco niż Machecoul. Miewali w swym ręku Bressuire, Thouars, Fontenay, Angers i Saumur, które stanowiło ważny ośrodek szkolenia wojska. Zdobyli mnóstwo broni, przejście przez Loarę, kontrolę nad jej dolnym biegiem. Mogli pomaszerować wprost na Paryż i prawdopodobnie rozstrzygnąć o dalszych losach rewolucji.

Mówi się często, że Cathelineau był wodzeni nominalnym, wysuniętym na pierwszy plan dla zaspokojenia wieśniaczego pragnienia równości między ludźmi, rolę zaś prawdziwych przywódców grali oficerowie szlacheckiego pochodzenia. Teza ta nie bardzo jakoś pasuje do sposobu zachowania się "armii katolickiej i królewskiej", do pewnych jej świecie przestrzeganych obyczajów, które i wcześniej, i później znajdowały odpowiedniki w prawdziwie ludowych powstaniach zbrojnych.

25 maja, po ciężkich walkach, Wandejczycy zdobyli Fontenayle-Comte, ówczesną

stolicę departamentu. W trzy dni potem, syci tryumfów i łupu, przez nikogo nie naciskani wynieśli się do domów. Powołanie gospodarza wiejskiego nie polega, jak powszechnie wiadomo, na okupowaniu miast, lecz na pracy w polu oraz w obejściu.

10 czerwca padło Saumur, w którego zacieklej obronie uczestniczyli nosiciele nie byle jakich nazwisk— Ludwik Aleksander Berthier, przyszedł szef sztabu armii Napoleona, i Marceau. Ten ostatni znalazł tu okazję do zaprezentowania światu niecodziennego postępu. W chwili wielkiego niebezpieczeństwa oddał wierzchowca komisarzowi politycznemu nazwiskiem Bourbotte, czyli własnemu oskarżycielowi, człowiekowi, który niedługo przedtem żądał dla Marceau kary śmierci.

Nie pomogły szaleńcze szarże kirasjerów paryskich ani śmierć dwóch tysięcy żołnierzy republikańskich. Wandejczycy zdobyli Saumur, by opuścić je wkrótce bez walki i w ogóle bez przymusu. Dowodzący nimi markiz de la Rochejaquelein w żaden sposób nie mógł zatrzymać wojowników, stęsknionych “do swych żon i wołów”, jak się z przekąsem wyraził Louis Blanc. Na mniejszą lub większą skalę historie podobne powtarzały się ciągle. Wieśniacy bili się z nieprawdopodobną pogardą śmierci, lecz czynili to ochotnie jedynie w pobliżu własnych siedzib. W armii katolickiej i królewskiej najwyżej kilka tysięcy lud/J ciągle pozostawało pod bronią. Reszta wracała pod swe strzechy, gdy tylko nieprzyjaciół spędzony został z pól, które widzieć się dawało z wież kościoła parafialnego. Do większych operacji trzeba było za każdym razem mobilizować mieszkańców najbliższych gmin.

Dopiero wiedza i pamięć o tych obyczajach pozwoli ocenić potęgę powstania wandejskiego, okrutnej walki podjętej przez ludzi, którzy naprawdę pragnęli tylko zachować, swą wiatę i żyć w spokoju.

12 czerwca, w Saumur, Jakub Cathelineau formalnie obrany został wodzem naczelnym. “Święty z Anjou” cieszył się wśród towarzyszy broni, takich samych jak on chłopów, już nie szacunkiem, lecz zabobonną czcią. Podczas bitwy każdy pragnął być przy nim jak najbliżej, bo panowało powszechne przekonanie, że wybrańca Niebios kule się nie imają.

29 czerwca, przed świtaniem, bardzo duże, czterdziestu tysięcy głów podobno sięgające siły powstańcze z wielu stron zaatakowały Nantes. Jedna tylko z wiodących do miasta dróg miała być pozostawiona w spokoju. Przezorności chłopskiego wodza nie zrozumiał jednak dowódca kawalerii wandejskiej, książę Filip de Talmont. Nie zrozumiał, czy też zlekceważył ją... Dość, że zamknął ową jedyną drogę... odwrotu obrońców. Walka o miasto od samego początku niezwykle zażarta, była więc taką do końca.

Cathelineau, pod którym zabito kolejno dwa konie, na piechotę przeniknął aż do

śródmieścia. Szedł ogrodami, na czele luźnych tyralier strzeleckich, stosował więc taktykę, którą się zazwyczaj uznaje za typowo rewolucyjną. Taktyką ludową była ona na pewno.

Osiągnąwszy plac Viarmes, Cathelineau uznał dzieło za skończone, miasto za zdobyte. Żarliwie pobożny chłop, który ruszając do natarcia przeżegnał się w skupieniu, teraz wydobył różaniec, padł na kolana i rozpoczął modlitwę dziękczynną. Z okna pobliskiej mansardy dojrzał go ochotnik republikański, z zawodu powroźnik. Pocisk karabinowy strzaskał kłęczącemu ramię, przeszył pierś. Wieść o śmiertelnej ranie wodza z błyskawiczną szybkością rozniosła się po szeregach wandejskich, złamana moralnie armia wieśniacza opuściła już prawie zdobyte Nantes. Nie zdołali jej zatrzymać ani szlacheccy oficerowie.

ani wyniesiony do generalskiej szarzy gajowy, Jan Mikołaj Stofflet.

Nie udało się uratować “świętego z Anjou”. 14 lipca zmarł on z gangreny w Saint-Florent, w miasteczku bardzo bliskim jego wsi rodzinnej. W pięć dni później naczelne dowództwo wziął d’Elbée, zwalczany i podkopywany przez innych arystokratów powstańczych. Juliusz Michelet twierdził, że Cathelineau w kontrrewolucji reprezentował rewolucję.

Obrona Nantes była zaciekle, heroiczna nawet. Obok sędziwego, bezpośredni udział w walce biorącego mera, nazwiskiem Baco, odznaczył się generał Beysser oraz komisarz polityczny Coustard. Wszyscy ci trzej mężowie należeli do “żyrondistów”, którzy świeżutko, na początku tegoż samego czerwca, przegrali batalię polityczną w Paryżu i za rządów zwycięskich “górali” mieli być ścigani jak dzikie zwierzęta, czyli tak samo jak niezaprzyjęni księża. Należałoby więc skorygować nieco twierdzenie Juliusza Michelet i powiedzieć, że Cathelineau reprezentował w kontrrewolucji nie całą rewolucję, lecz jej najlepszą zdobycz — rzeczywisty awans ludu.

Jeszcze jeden generał zalicza się do bohaterów obrony Nantes: Jan-Chrzyciel Kamil hrabia de Canclaux, który długo walczył z powstańcami, za Napoleona piastował wysokie godności, za Ludwika XVIII został parem Francji. Jeden z republikańskich komisarzy napisał do Konwencji, że tacy ludzie jak Canclaux zdradzają, wcale tego nie spostrzegając, najlepiej więc nie korzystać z ich usług. Pomylił się bardzo gruntownie. Nie pasujący do schematów, niewłaściwymi manierami rażący hrabia zdolny był nie tylko do robienia kariery, lecz również do służenia Francji w każdej sytuacji. Na pewno przysporzył jej więcej korzyści niż ci chwalebnie czujni, co to — według celnego sformułowania Bernarda Fay — zapragnęli podzielić naród na trzy kategorie: na policjantów, donosicieli i podejrzanych.

Po bitwie o Nantes czujność odniosła znaczny sukces. Stanowisko naczelnego dowódcy wojsk rewolucyjnych na zachodzie kraju utracił generał o historycznym nazwisku.

Armand Louis de Gontaut, książę de Lauzun et de Biron, został odwołany do Paryża, gdzie go czekała gilotyna. Nieco wcześniej na wandejski plac boju wyjechał ze stolicy wierny i zasłużony członek wspomnianego w poprzednim zdaniu narzędnia. Piwowar paryski Antoni Józef Santerre brał czynny udział w zdobyciu Bastylli oraz innych temu podobnych wydarzeniach, ponadto jeszcze eskortował rodzinę królewską do więzienia Tempie, dyrygował podczas egzekucji Ludwika XVI. W połu jednak te zasługi niczym się okazały w porównaniu z cnotami wierzchowca, który zdołał przesadzić wysoki mur i wyniósł swego pana ze starcia pod Vihiers. Wandejczycy nie mogli odżałować, że wymknął się im z rąk człowiek tak bardzo wsławiony.

Dziwne rzeczy odbyły się wtedy pod Vihiers. Żołnierzy republikańskich ogarnęła panika, zanim bitwa rozpałała się na dobre, po stronie zaś powstańczej szczególnym zbiegiem okoliczności zabrakło któregośkolwiek z wyższych dowódców. Komendę objął więc i wcale dobrze sobie poradził pewien młody i oczywiście niezaprzysiężony ksiądz, poprzednio proboszcz w Angers. Nazywał się Stefan Bernier.

Usuniętego Birona zastąpił człowiek nie podejrzany o grzech pierworodny niewłaściwego pochodzenia. Był nim Jan Antoni Rossignol, złotnik paryski, uczestnik wszystkich tamtejszych "dni" rewolucyjnych. Mianowali go tacy, co uważali, że polityczna prawomyślność nie tylko zastępuje, lecz o całe niebo przewyższa kwalifikacje fachowe. Sam Rossignol był nieco innego zdania, nie przeceniał swych zdolności dowódczych. Wraz z nim zbawiać miał Republikę niejaki Karol Ronsin, o którym Jakub Godechot słusznie napisał, że w pewnym, lecz tylko w tym jedynym względzie przewyższył Napoleona: w cztery dni awansował ze stopnia kapitana gwardii narodowej do rangi generała brygady. Wkrótce wysokie stanowisko wojskowe na przymorskim froncie osiągnął taki, co usłyszawszy, że de Charette zajął wyspę Noirmoutier, zapytał z rozbrajającą szczerością, co to takiego Noirmoutier i gdzie się znajduje.

Polityczni generałowie oraz otaczające ich kohorty komisarzy i reprezentantów Konwencji zachowywali się w sposób dość typowy dla ludzi, którzy dorwali się upragnionej władzy i płynących z niej słodczy życia. Wszło wśród nich w modę podróżowanie karetami skonfiskowanymi w Wersalu. Zmierzając do Wandej, Santerre uwiadamił mera Paryża, że taka republikańska podróż dostarcza pięknego widowiska: pojazdy dworskie, "które ongi woziły zbrodnię, transportują oto cnotę". Co prawda, wspomniani działacze odmawiali jej sobie nawzajem, ciągle — i wcale nie bezpodstawnie — oskarżali jedni drugich o interesowność, rozpustę, kradzieże i rabunki. "Plugawa kloaka z Saumur" — mawiał taki, co należał do koterii skupionej w Nantes i wcale od swej rywalki nie lepszej.

Komisarze polityczni przypisywali też sobie prawo odwoływania generałów.

Republika francuska rozporządzała jednak czymś innym jeszcze niż licznym plemiem politycznych majstrów od wszystkiego. 10 sierpnia zapadło postanowienie o skierowaniu do Wandei tak zwanej armii mogunckiej, liczącej osiemnaście tysięcy żołnierzy z jak najbardziej prawdziwego zdarzenia. Jedną z jej dywizji dowodził czterdziestoletni Jan-Chrzyciel Kleber, od młodych lat zawodowiec wojskowy.

Po trwającym od wiosny, sławnym na całą Europę oblężeniu Moguncja musiała skapitulować przed Prusakami. Francuski jej garnizon otrzymał honorowe warunki, zachował sztandary, broń i bagaże, lecz musiał się zobowiązać, że przez rok nie będzie walczył przeciwko koalicji monarchów. Bardzo wprawne ręce tych żołnierzy były więc wolne. Postanowiono je zatrudnić na froncie wewnętrznym.

19 września, w bitwie pod wsią Torfou, powstańcy zadali dotkliwą porażkę moguntczykom, zmusili do odwrotu rannego Klebera. Nie byłiby Francuzami, gdyby natychmiast nie wyzyskali współdzwieczenia słów: Mayence — faïerice... Całą Wandę obleciało powiedzenie o armii z fajansu, która nie wytrzymuje ognia. Któryś z wysmiewanych w ten sposób oficerów oddał zwycięzcom spod Torfou należny szacunek: — Te diabły w sabotach biją się równie dobrze jak my, lecz lepiej strzelają — powiedział.

W przeddzień zwycięstwa pod Torfou “biali” ciężko poszkodowali “błękitnych” koło wsi Coron, 20 września porazili pod Montaigu siły generała Beysser, który przyplącił to niepowodzenie śmiercią na gilotynie, następnego dnia pokonali pod Saint-Fulgent generała Mieszkowskiego.

Wandea wydawała się groźna jak nigdy dotychczas. Pomimo zawiści i intryg wśród dowódców zaczęto nadawać zdobytemu przez powstanie obszarowi organizację, ustanawiać władze cywilne. Wyznaczono podatki, ogłoszono zasadę swobody religijnej pod warunkiem zaprzysiężenia wierności ośmioletniemu Ludwikowi XVII, którego los więzienny uległ przed kilku tygodniami niejakiej odmianie. Stróżem i wychowawcą dziecka został powroźnik paryski, Antoni Simon.

W sierpniu przed obliczem zgromadzonych w zamku La Boulaye wodzów wandejskich stanął osobnik podający się za kawalera de Tinténac i pokazał pismo, wśród mnóstwa przygód i niebezpieczeństw przywiezione wprost z Londynu. Anglia obiecywała pomoc, o której powstańcy zaczęli marzyć już grubo wcześniej, bo w kwietniu. Wystylizowana natychmiast odpowiedź zawierała przyjęcie propozycji, lecz wysuwała również stanowcze żądanie, by na czele korpusu ekspedycyjnego stanął któryś z burbońskich książąt krwi, sam zaś korpus składał się przede wszystkim z emigrantów francuskich. Wandea

obiecowała pomoc przy lądowaniu, a to przez zdobycie któregoś z portów i skupienie w tym wybranym miejscu co najmniej dwudziestu tysięcy zbrojnych.

Dotychczasowy stan rzeczy nie przedstawiał się zbyt dogodnie dla zamierzeń desantowych. Republikanie, którzy stracili tak znaczne obszary przymorskie, utrzymali jednak w swym ręku samo wybrzeże oceanu. Próba zdobycia Sables-d'Olonne nie powiodła się "białym", pod blisko morza położonym Lucon doznali oni klęski.

Kawaler de Tinteniac zabrał odpowiedź i ruszył w drogę powrotną. Powstanie już się nie doczekało żadnych dowodów zainteresowania ani ze strony Anglii, ani od emigracji.

Politycy republikańscy gorliwie zabrali się do naprawiania skutków klęsk wrześnieowych oraz do zapobiegania dalszym nieszczęściom. Składali z godności generałów i spisywali przeciwko nim akty oskarżenia. Republice pomogła jednak inna zupełnie okoliczność, to mianowicie, że fajans moguncki okazał się odporny na ogień. Wyszkolony żołnierz doznał pod Torfou porażki, zeszedł jednak z pola bitwy w regularnym szyku, ustępując krok za krokiem. Pozostał siłą zdolną do wysiłków nie tylko bohaterskich, lecz i systematycznych. Był dość odporny moralnie, by nie załamać się, kiedy stojąc twarz w twarz z wrogiem dowiadywał się o niełasce i usuwaniu dowódców, którym ufał.

Nie wszystkich jednak wyższych oficerów spotkał ten los i 17 października 1793 roku skoncentrowaną pod Cholet armią republikańską nominalnie tylko dowodził polityczny rzeczoznawca Lechelle, faktycznie zaś Kleber, mający pod rozkazami Marceau. Po raz pierwszy w swej karierze wojennej Wandejczycy poszli do walki w szykach zwartych i po raz pierwszy również doznali klęski tak strasznej. D'Elbée i de Bonchamps odnieśli rany śmiertelne, wieczorem zmasakrowany, zmieszany tłum rzucił się w ucieczkę ku północy, w kierunku Loary i dokonał tutaj wyczynu, który wzbudzał później podziw Napoleona. Około czterdziestu tysięcy ludzi zdołało się przeprawić przez szeroką rzekę, schronić się na jej prawym brzegu, więc już w Bretanii.

"Buntownicy bili się jak tygrysy, nasi żołnierze jak lwy" — napisał w swym raporcie Kléber. Z trudem wywalczone zwycięstwo zmęczyło jednak nawet lwy, skoro dopiero w dwa dni później komisarz Merlin donosił znad Loary: "...przybyłem za późno, by wytopić rozbitki bandytów. Ta armia papieża, która wyrządziła nam tyle zła i którą ścigano z zapalem niedostatecznie rewolucyjnym, na razie się nam wymknęła..." Pełen czerwonego ognia działacz, w niedalekiej przyszłości biały terrorysta, kreślił te słowa w Saint-Florent, w którym dnia poprzedniego konający de Bonchamps ocalił życie czterem tysiącom jeńców.

Zamiar przejścia na prawy brzeg Loary istniał już od pewnego czasu wśród powstańców. Gorąco zalecało ten plan stronnictwo księcia de Talmont, który pochodził z

Bretanii i był pewien poparcia ze strony jej mieszkańców. Przeważały jednak inne względy. O ich charakterze dobitnie świadczył wygląd i skład tłumu, który w barkach rybackich, w czółnach lub konno przepłynął się przez rzekę.

Liczebność jego określano w sposób dość fantastyczny, lecz wystarczy i tego, na co godzą się fachowi historycy. Według nich na prawym brzegu Loary znalazło się czterdzieści tysięcy Wandejczyków, z czego jedna czwarta zaledwie nosiła broń. Cała ogromnie przeważająca reszta składała się ze starców, kobiet i dzieci unoszących głowy z pogromu, ratujących życie. Wandeja, ojcowizna tej ciżby, jak długa i szeroka zaczynała cuchnąć spalenizną i trupim odorem.

Szkic niniejszy wymienił kilka zaledwie batalii, tymczasem zaś Armel de Wismes — komentator cennej książki *Les guerres de Vendée*, autor wstępu do niej — obliczył, że podczas całego powstania stoczono siedemnaście poważniejszych bitew i siedemset starć pomniejszych. Prócz tego... zza każdego żywopłotu, z okna każdej chałupy mógł paść strzał, spowodować nie tylko ofiary, lecz i represje.

Już w początkach lipca generał Westermann zaczął systematycznie stosować taktykę “spalonej ziemi”. Ruszył w swój niszczycielski pochód z Parthenay (o jego tam pobycie napomyka wspomniana na samym początku karta restauracyjna), puszczał z dymem wsie i nader starannie spalił zamek Clisson. stanowiący własność oficera powstańczego, de Lescure. Nieco później obrócił w popiół całe Chatillon.

2 sierpnia cytowany już dekret Konwencji oficjalnie skazał na taki sam los całą Wandę. Popłoch padł nie tylko na ludność sprzyjającą powstaniu, lecz również i na miejscowych republikańców. Pewni bowiem gorliwcy głosili, że jednakowo traktować należy i wrogów-rojalistów, i tchórzliwych “patriotów”, co nie potrafili własnymi siłami urwać łba hydrze.

Wyczyny Westermanna doprowadziły do szału najbardziej spokojnych spośród powstańców, takich nawet ludzi, którzy dotychczas oszczędzali rozbrojonego przeciwnika, nie mówiąc już o ludności zajmowanych miast. Wcale nie wszędzie bowiem powtarzały się marcowe okropności z Machecoul. W maju zdobyte szturmem Thouars zostało oszczędzone, dowódca jego załogi doznał pociechy przedśmiertnej: zanim położył głowę pod nóż paryskiej gilotyny, był rycersko traktowany przez swych/ wandejskich zwycięzców.

“Żołnierze wolności, bronimy dobrej sprawy, lecz iluż spomiędzy nas nie zasługuje na zaszczyt uczestniczenia w jej obronie. Od chwili wkroczenia naszej armii do Wandei każdy żołnierz zabija, kogo chce, rabuje, kogo chce, a to pod pretekstem, że zabijany czy obrabowany jest buntownikiem lub myśli rojalistycznie” — pisał w sierpniu do Paryża oficer

korpusu mogunckiego, kapitan Bouveray.

Łatwo niestety zrozumieć, co wypędziło za Loarę dziesiątki tysięcy bezbronnych mieszkańców Wandei. Można było marzyć o chwilowym chociażby schronieniu w Bretanii, x>czekać pomocy od jej ludności i... desantu angielskiego w którymś z jej licznych portów.

Nadzieje zawiodły, końcowa faza wojny była jeszcze bardziej okropna niż początkowa.” Droga na pomoc powiodła armię wandejską przez Fougères, gdzie dokonano reorganizacji, powzięto decyzje co do dalszego marszu. W tym powiatowym mieście bretońskim pięknie utrzymany zamek obronny dostarczyć dziś może materiału do lekcji poglądowej na temat średniowiecznej sztuki fortyfikacyjnej. Pozwala się też podziwiać jakby z lotu ptaka, lecz bez konieczności wynajmowania w tym celu samolotu albo śmigłowca. Niezbyt odległy kościół miejscowy i przylegający do niego park leżą po prostu znacznie wyżej niż mury i bastiony fortecy. Umieszczony tam strzelec zdołałby swobodnie brać na muszkę staroświeckiego nawet .karabinu poszczególnych ludzi pokazujących się na dziedzińcu zamkowym. W Fougères można się wiele nauczyć nie tylko na temat średniowiecznego budownictwa obronnego, lecz również na własne oczy zobaczyć, jak bardzo postęp techniki, reprezentowanej w danym wypadku przez broń palną, musiał zdegradować tę wspaniałą sztukę, przemienić jej twory w romantyczną ozdobę pejzażu.

Stare budowle mogły jednak z powodzeniem służyć za pomieszczenia dla rozmaitych instytucji. Nie jest wykluczone, że w Fougères w zamku właśnie ulokowano szpital dla rannych i chorych. Republikanie oskarżali Wandejczyków o barbarzyńskie zachowanie się w mieście, ci ostatni chwalili się, że oszczędzili tam życie ośmiuset jeńcom. Nie ma za to różnicy zdań co do postępowania oddziałów rewolucyjnych, które wkroczyły po wycofaniu się “białych”. Ranni i chorzy zostali wymordowani w sposób niewypowiedzianie okrutny. Cięto ludzi żywcem na sztuki, nożami żłobiono im na skórze znaki krzyża. Kobiety nadziewano nabojami prochowymi..

Pobita pod Cholet armia wandejską zaraz potem zawiodła swych pogromicieli, pokazała, że nie utraciła jeszcze zębów. Niespodzianka spowodowała widocznie nowy przyływ wściekłości.

Merlin de Thioriville, który biadał nad niemożnością wytopienia w Loarze niedobitków, pocieszał się tym, że “biali” nie mają już wodza. De Bonchamps zmarł z rany, d’Elbée i de Lescure dogorywali. Komisarz nie wiedział jeszcze o nowej nominacji. Komendę nad powstańcami objął młodzieńcy Henryk de la Rochejaquelein.

Późno, bo dopiero w połowie kwietnia przyłączył się on do ruchu. Do tłumu chłopów, którzy przyszli zapraszać go pod broń, wygłosił na podwórku swego zamku słowa cytowane

odtąd przez wszystkich niemal opowiadaczy: “Jeśli będę nacierać, idźcie za mną! Jeśli się cofnę, zabijcie! Jeśli zginę, pomścijcie!”.

W parę dni po swej nominacji, po wyborze raczej, de la Rochejaquelein zwyciężył przeciwników w regularnej bitwie. Generał polityczny, Lechelle, uszedł z pola pod Chateau-Goutier, generał fachowy, Kleber, straciwszy około tysiąca moguntczyków, cofnął się aż pod Angers. Wojskowy mniejszego znacznie talentu, lecz bez porównania większej srogości, Westermann, ciężko przegrał w innym starciu, pod Entrammes. Napoleon miał na pewno rację, gdy twierdził, że młody szlachcic wandejski mógłby zająć bardzo wysoko. Kto wie, czy nie na takie nawet szczyty, jak marszałek Davoust, którego nazwisko przed rewolucją pisało się nieco inaczej, mianowicie d’Avoust.

Przystrojony w oznakę swej godności, w białą szarfę z czarną kokardą, mając za zastępcę eks-gajowego Stofflet — znanego zarówno z męstwa, jak z twardości wobec podwładnych i samego siebie — wiódł de la Rochejaquelein swoje wojsko na północ, ku Granville. Ten bowiem port zamierzali powstańcy zdobyć i wywiesić na najwyższym budynku biały sztandar między dwoma czarnymi. Miał to być znak dla wojennej floty angielskiej.

Po drodze przyłączyło się do Wandejczyków kilka tysięcy ochotników bretońskich. Przyprawdzili ich dwaj bardzo wstawieni ludzie: nieustraszony olbrzym, Jerzy Cadoudal, który jeszcze przez jedenaście lat miał na wszelkie sposoby zwalczać rewolucję i jej korsykańskiego spadkobiercę, oraz Jan Cottereau. Od jego przydomka czy też pseudonimu pochodzi nazwa “szuanów”, nadawana potocznie, lecz niezbyt słusznie, wszystkim kontrewolucjonistom Francji zachodniej..

Nie tylko zbrojni ciągnęli ku Granville. Pomiedzy silną, wyposażoną w działa strażą przednią i takąż samą ariergardą włókł się długi na mile całe pochód bezbronnych — chorych, rannych, starców, kobiet z dziećmi na ręku. Sięgali po angielskie zbawienie wszyscy, którym się nie uśmiechał los współbraci pozostawionych za Loarą albo i bliżej — w Fougères. Nadszedł już listopad, pora w północnym, przyoceanicznym kraju niezbyt miła.

Granville obroniło się słabemu zresztą atakowi. Powstańcy nie mieli żadnego sprzętu oblężniczego, pomysł sygnalizowania przy pomocy białych i czarnych sztandarów okazał się nieużyteczny, bo na morzu nie zamajaczył ani jeden żagiel angielski. Widać tam było tylko dwa małe okręty wojenne, przybyłe z Saint-Malo i trzymające pod ogniem swych dział plażę, by zapobiec atakowi na miasto od jej strony — w porze odpływu.

Tłum uchodźców wraz z resztkami armii katolickiej i królewskiej ruszył znowu na południe, wśród zajadłych walk parł ku Angers, które zamiast poddać się, jak to zrobiło

latem, odrzuciło natarcie. Nie wykonało jednak w pełni rozkazu swych władz, które nakazały przystroić obwarowania miasta zatkniętymi na piki głowami poległych buntowników.

Wygląd mas, miotających się po prawej stronie Loary, zaczął teraz do złudzenia przypominać to, co w dziewiętnaście lat później oglądali i jakże dobrze zapamiętali mieszkańcy o wiele bardziej na wschód położonych regionów Europy. Zgłodniali, wynędzniali ludzie bronili się przed grudniowym chłodem wszystkim, co dało się złupić lub wyżebrać po drodze. Widywano wojowników w spódnicach i w damskich kapeluszach, turbany teatralne, rozmaite tegoż pochodzenia najbardziej fantastyczne stroje na chłopskich postaciach, chusty, płachty, szmaty, togi sędziowskie... Tylko o ornatach kościelnych nie wspominali jakoś pamiętnikarze.

Ostatnim sukcesem wojsk wandejskich było zdobycie Le Mans. Łatwo pojąć, jak obrabowane zostało miasto, w którego mury schroniła się odczłowieczona przez cierpienia ciżba. Schroniła się nie na długo. W nocy z 12 na 13 grudnia grenadierzy Marceau zdobyli Le Mans bagnetem. Kléber twierdził, że w całej swej długiej praktyce zawodowego wojaka nie widział tak strasznej masakry. Westermann szalał, komisarze polityczni moralnie patronowali przedsięwzięciu, tamci dwaj prawdziwi ludzie nie wytrzymali długo widoku rzezi bezbronnych, publicznego gwałcenia żywych, a podobno i martwych kobiet. Zastosowali czysto wojskowy, regulaminowy — chciałoby się rzec — środek przywoływania do porządku. Dobosze uderzyli w bębny na alarm. Taki sygnał posłyszeli najbardziej rozbawiony żołnierz i stanął w szeregu.

Niedobitki Wandejczyków zachowały się tak, jakby zapragnęły skończyć na własnych śmieciach. Od Laval zakreśliły raz jeszcze na południe, ku Loarze. Tutaj, koło Ancenis, de la Rochejaquelein i Stofflet odcięci zostali od towarzyszy broni, gdy przypadkowo znalezionym czółnem przeprawili się na lewy brzeg, by zagarnąć jakieś zauważone z daleka barki. Środków przeprawy brakowało nieszczęśnikom, jedyną posiadaną łódkę wieziono w taborze niczym skarb. Teraz, kiedy na rzece pokazały się w dodatku kanonierki, pozostawała jedyna droga odwrotu. Wiodła na zachód, podobna do szerokiego, lecz nieustannie się kurczącego korytarza. Po lewej stronie wezbrana Loara, po prawej — w oddali — także Vilaine, w perspektywie ocean, za plecami bezustannie naciskający “błękitni” z Westermannem w straży przedniej, który na swym szlaku przemieniał w mogiłę “każdą fermę i każdy dom”.

Koniec armii katolickiej i królewskiej nastąpił 23 grudnia 1793 roku, pod Savenay. Polityczni Napoleonowie doszli do wniosku, że będzie on krótki i łatwy, można więc uderzać beztrąsko. Całkiem co innego pomyślał sobie Kléber widząc, jak ubezpieczenia wandejskie bagnetem odrzuciły grenadierów.

— Jeżeli nie uciszysz tych adwokackich wrzasków — rzekł więc do dowodzącego Marceau — jutro znajdziemy się w Nantes z nieprzyjacielem na karku.

Savenay zdobyte zostało nocą regularnym natarciem, prowadzonym przez obu generałów. Ostami oddziałek powstańczy z samozaparciem bronił wyjścia z miasta, by kobiety, dźłeci i bezbronni mieli czas schronić się w lasach. Nie na wiele przydała się ta ofiarność, Komitet Ocalenia Publicznego otrzymał wkrótce od Westermanna następujący raport:

“Nie ma już Wandei, obywatele republikanie. Wraz ze swymi kobietami i dziećmi zginęła ona pod naszą wolną szablą. Grzebię ją w bagnach i lasach Savenay. Zgodnie z rozkazami, któreście mi dali, miażdżyłem dzieci kopytami koni, masakrowałem kobiety, które — przynajmniej te właśnie — nie będą już rodzić bandytów. Nie mam na sumieniu wzięcia chociażby jednego jeńca. Tępiłem wszystkich... Moi huzarzy mają przy końskich ogonach strzępy bandyckich sztandarów. Drogi są zasłane trupami. Jest ich tyle, że w wielu miejscach tworzą piramidy. Bez przerwy rozstrzeliwuje się w Savenay, ponieważ ciągle przybywają bandyci pragnący się poddać... My nie bierzemy jeńców; trzeba by im było dawać chleb wolności, litość zaś to nie rewolucyjna sprawa”.

Jedno zdanie z tego raportu należy przytoczyć zupełnie osobno: “Klébera i Marceau nie ma tutaj”.

W końcowym okresie wojny wandejskiej obaj oni stali się tak dalece podejrzani we względzie politycznym, że ten pierwszy mawiał do drugiego: “Zgilotynują nas razem”. Bo też obydwaj zachowywali się w sposób wysoce nieprawidłowy. Tak na przykład w Le Mans, do spółki z przyszłym generałem Savary, ocalili życie dwudziestoletniej Angelice des Mesliers, prowadzonej już na stracenie. Marceau pozwolił sobie nawet zakochać się w niej. Karygodny brak czujności został w porę dostrzeżony, zapobieżono złu, panna des Mesliers oddała głowę, lecz było to zasługą innych, politycznie czystych ludzi, nie rozgrzeszało więc winowajców.

Nie można wątpić, że spór ‘pomiędzy wodzami z awansu politycznego a żołnierzami z zawodu przedłużył wojnę. Gdyby pozostawiono fachowcom wolną rękę, Francja nie straciłaby aż tyle krwi. Powstańców pobito by wcześniej, mniej wyróżniono by bezbronnych.

Wkrótce po tym wszystkim Marceau napisał do siostry, że raz na zawsze wyjeżdża z Wandei i w przyszłości walczyć będzie już tylko z nieprzyjacielem zewnętrznym. Mógł to uczynić, z czystym sumieniem żołnierskim opuścić plac dotychczasowych bojów. W Wandei przycichł już okrzyk “rembarre! rembarre!”, z którym tłumy uzbrojonych chłopów wypadały zza żywopłotów, szły do regularnych bitew.

Rozmaite rozmyślenia snuć można, podziwiając paryski Łuk Tryumfalny. Wiadomo

powszechnie, że pod jego arkadą przez dwadzieścia cztery godziny stał wyniosły katafalk Wiktora Hugo, by stolica, Francja i Europa mogły złożyć hołd wielkiemu pisarzowi. Wzruszające wspomnienie mąci nieco żal, iż na monumencie, który posłużył sprawie syna, zapomniano wyźłobić imienia i nazwiska ojca, generała Sigisberta Hugo, który bił się w Wandei, później zaś, za Napoleona, także w innych krainach i — jak wynika z jednego z wierszy Wiktora — nawet gerylasów hiszpańskich traktował po ludzku. Widnieje za to na Łuku nazwisko generała Turreau...

Pierwsza egzekucja przez utopienie odbyła się w Nantes 16 listopada, wspominało się już o tym. Wojna wandejska jeszcze wtedy trwała, powstańcy szli na Granville. Wyczyny Jana Chrzciciela Carrier określone zostały na początku tych rozważań jako początkowe akordy finału. Dopiero teraz przyszedł czas na pobieżne z konieczności wsłuchanie się w jego pełnię. Zanim się jednak do tego przystąpi, trzeba wspomnieć, że Nantes nie stanowiło wyjątku. Mordowano zawzięcie w wielu miastach, w Saumur, zwłaszcza zaś w Angers, gdzie komisarz miejscowy, nazwiskiem Francastel, nie tylko działał, to znaczy wyprawiał na tamten świat tysiące ludzi płci obojej, lecz i pisywał płomienne apele: “Wandea zostanie wyludniona, lecz Republika pomszczona i spokojna... Bracia, niechaj Terror nie schodzi z porządku dziennego, a wszystko będzie dobrze”.

Komendę po Marceau wziął w Wandei generał Turreau, który okazał się człowiekiem systematycznym i przezornym. Opracował plan pacyfikacji, lecz zażądał od Konwencji wyraźnych rozkazów, aby — jak sam podkreślił — bez reszty wyjaśnić kwestię odpowiedzialności. Oględność ta zapewne pozwoliła mu ominąć cało wszelkie Scylle i Charybdy, zachować rangę za Napoleona i zdobyć miejsce na Łuku Tryumfalnym.

Na obwodzie Wandei skoncentrowało się dwanaście silnych, zachowujących łączność pomiędzy sobą oddziałów, które przeszły do historii pod nazwą “kolumn piekielnych”. Koncentrycz⁷ nie ruszyły one w głąb kraju niszcząc wszystko, co napotykały po drodze. Okazało się, że dotychczasowe okrucieństwa i rzezie nie wyczerpywały jeszcze możliwości ludzkich. 28 lutego 1794 roku w miejscowości Luc-sur-Boulogne padły pięćset sześćdziesiąt trzy ofiary. Pacyfikatorzy utrudzili się, lecz nie napotkali oporu, bo były to wyłącznie kobiety i dzieci. W lesie Vezins, gdzie znajdował się szpitalny obóz niedobitków, wyrżnięto tysiąc dwieście osób. Gwałcono kobiety na kupach kamieni przydrożnych i na ołtarzach kościelnych, obnoszono na bagnietach niemowlęta. Dla zaoszczędzenia prochu, kolb i innej broni palono żywcem. Republikanów, ludzi zaopatrzonych w świadectwa prawomyślności obywatelskiej, spotykał często ten sam los co rodziny powstańcze. Działo się tak nawet po miastach. Po wsiach podejrzany, a więc skazany bez sądu, był każdy napotkany chłop — bez

różnicy płci i wieku. Dawna, oporna Wandeia miała być starta z powierzchni ziemi.

Te właśnie wydarzenia przypomina krzyż w Pouzauges, poświęcony tym, co oddali życie za Boga i za swój kraj.

Oradour-sur-Glane? Tak jest! Oradour-sur-Glane wcześniejsze o lat sto pięćdziesiąt, mające rozmiary całej ludnej prowincji, obmyślone, przygotowane i wykonane przez Francuzów na innych Francuzach.

Spragnieni szczęścia przyszłych pokoleń ideologowie potrafią mało się przejmować losem tego, które akurat żyje, skłonni bywają traktować je jak coś w rodzaju nawozu użyźniającego. Lecz ludzie rządzący państwem powinni jednak dbać o to, co mu jest potrzebne dla aktualnego funkcjonowania.

Zima ówczesna okazała się bardzo surowa dla Francji, skoro w” Paryżu zamarzyła Sekwana. Tym ciężiej było mieszkańcom kraju znosić głód. Silne konwoje żołnierskie musiały ochraniać transporty żywności, by przynajmniej czoła rozpaczliwie długich kolejek nie odchodziły spod piekarń bez chleba. Jesienią zasiano mniej niż kiedykolwiek przedtem, setki tysięcy mężczyzn poszło przecież do wojska, które też trzeba było żywić. W Wandei płonęły wcale znaczne zapasy ziarna i siana. Żywopłoty i drzewne palisady tego kraju istnieją wszak nie dla ozdoby, ogradzają pola orne i pastwiska. Wraz z ludźmi ginął należący do nich inwentarz żywy, dziesiątki tysięcy sztuk bydła poszło na zupełnie bezużyteczną rzeź, na przepadłe.

Jak mogli rządcy państwa uwikłanego w wojnę na wszystkich frontach i narażonego na głód dopuścić do spustoszenia własnej rolniczej prowincji? “Wandeia wojenna” obejmowała obszar jakichś dwudziestu tysięcy kilometrów kwadratowych.

Rządcy ówczesni... Jedyne przywódca polityczny na miarę potrzebną osiągnął już wtedy rangę generalską, lecz miał dopiero dwadzieścia cztery lata, dojrzewał. Inni... Robespierre, Couthon, Danton. Carrier, Fouquier-Tinville — sama podrzędna palestra. Desmoulins — dziennikarzyna. Santerre — piwowar paryski. Historia zauważyła ich nie wcześniej, aż okoliczności pozwoliły im wspiąć się na polityczne szczudła. Ci ludzie mieli do wyboru dwie drogi : nicość lub władzę. Utrata jej w najlepszym razie oznaczała konieczność powrotu w mrok obskurnych kancelarii adwokackich, w kwaśny zaduch piwowarni.

Chłopi wandejscy dopuścili się niewybaczalnej zbrodni, zakwestionowali prawo owych mężów do władzy, zapragnęli siekierami porąbać polityczne szczudła. Skazani więc zostali na śmierć, Francja zaś na wzmożoną nędzę.

Dekretodawców zawstydzał nieco pewien precedens. Pamiętano dobrze, że za Ludwika XIV Louvois dziko spustoszył Palatynat nadreński. Jedyne słuszne wyjaśnienie

znaleziono jednak bez trudu. Louvois — orzeczone — działał dla dobra tyranii, Konwencja morduje i niszczy w imię postępu.

Ani Louvois, ani okrutnicy z Machecoul nie ozdabiali przynajmniej swych wyczynów żadną teorią. Zabijali, znęcali się, lecz nie prostytuowali myśli ludzkiej.

Dziwnie łatwo przychodzi ideologom odkrywanie rozmaitych praw historii, które z reguły posiadają pewną cechę wspólną. Żądają mianowicie władzy absolutnej dla swych odkrywców. Na szczęście istnieją jednak, ustalone w drodze nie podlegającego zakwestionowaniu doświadczenia, tak zwane prawa przyrody. Główne, podstawowe spomiędzy nich głosi, że człowiek musi jeść. Primum edere, deinde philosophari — mawiali na ten temat Rzymianie.

Latem 1794 roku, jeszcze przed przewrotem thermidoriańskim, zaczęły się w Wandei ukazywać urzędowe ogłoszenia, wzywające ocalałych do podjęcia pracy na roli. Zbliżała się pora zbiorów.

VI

Nawyk i zjawisko jeszcze mniej zaszczytne, mianowicie tchórzliwość myśli, każą ciągle dopytywać o sens wydarzeń historii. Niełatwo bowiem przyznać się przed samym sobą do odkrycia, że obfituje ona w fakty, z których nie wykiełkowało nic pożytecznego, że jest gęsto nadziana absurdem. Wbrew szkolarskiemu optymizmowi, błogo wieszczącemu ostateczną i nieuchronną przewagę tego, co rzekomo konieczne, rzeczywistość dziejową tworzą często przekonania, postawy i dążenia niesłuszne, szkodliwe, zbrodnicze bądź po prostu głupie. Przywykliśmy oglądać przeszłość obrawszy sobie stanowisko obserwacyjne wśród tych grup faktów, które stanowią dotychczasowy rezultat rozwoju, uwieńczonego powodzeniem. Ileż w tejsze przeszłości początków pomyślnych, lecz zakończonych katastrofą, dróg, co zaprowadziły wcale nie donikąd, ale zwyczajnie pod ziemię? Warto pojechać do Bułgarii, obejrzeć sobie freski w Bojanie na przedmieściu Sofii, w których jakby już widać przebłąski ubranego w prawosławne szaty europejskiego renesansu, porozmyślać o kulturalnym promieniowaniu tego kraju w średniowieczu i przekonać się o tragicznej pustce, zalegającej późniejsze pół tysiąclecie. Wątpić jednak wolno, czy nawet taka lekcja pogładowa na wiele się przyda, bo pesymizmem zalatujące spostrzeżenia lekko wylatują poza obręb świadomości ludzkiej. Wolimy oglądać drewniany dom rodzinny Szekspira w Stratfort-on-Avon, kontemplować wzruszająco prymitywne skobelki i zasuwki drzwi wejściowych i uznawać ten krzepiący widoczek za symboliczny dla trwałości oraz ciągłości osiągnięć historii powszechnej. Upieramy się utożsamiać ją ze stanem posiadania tych nielicznych krajów, które z rozmaitych zamętów zdołały w przeciągu ostatnich kilkuset lat wychodzić z dorobkiem uszczuplonym względnie nieznacznie’.

Można i we Francji dostawać wypieków z podziwu lub zżółknąć z zazdrości na widok tego, co historia miejscowa raczyła zaoszczędzić. Czegóż warta taka chociażby rue de la Vaux-St-Jacques w rylekroć już wymienianym Parthenay! Gdyśmy ją zwiedzali, istniała akurat okazja dokonania korzystnej transakcji. Za przystępną cenę dwóch tysięcy franków można było nabyć na własność dwie jednopiętrowe, stykające się ze sobą kamieniczki, zbudowane w stuleciu XV. We frontowej mieszkał podobno przez czas pewien Ludwik XI, a zdobiące ścianę główki kamienne stanowią jego podobizny. Tak przynajmniej zapewniał niemłody oberżysta tutejszy, pan i dziedzic skromnego raczej zakładu gastronomicznego, położonego w cieniu zamykającej ulicę ogromnej, sześćsetletniej wieży mostowej św. Jakuba.

Domki króla Ludwika, bastion ochronny i równy mu wiekiem most są kamienne.

Wąziutka uliczka — ongi główna arteria handlowa grodu i jednocześnie szlak pielgrzymi do św. Jakuba z Compostelli — w obfitości przechowała to, co najłatwiej zniszczyć. Barwione na czerwono, czarno lub szaro drewno gęsto przecina płaszczyzny tynków. Z drewna również są wsporniki wystających pięterek, belki rzeźbione gotykiem. Kamień posłużył tylko na odrzwia domów, mających niekiedy jedno okno we froncie.

Kamienny, średniowieczny architrav obramia od góry wrota garażu. Wcale niebrzydkie samochody parkują tu i ówdzie na uliczce, która mało zaiste, przypomina Pok Elizejskie czy nowoczesne dzielnice Grenoble. Nie będzie się tu snuło rozważań na temat losu ludzi, dobrowolnie czy z musu przemieszkujących wśród takiej starzyzny. Autora bardziej bowiem interesuje gołym okiem widoczne zjawisko skrzetności historii lokalnej, która jakby się wzdragała przed zmarnowaniem czegokolwiek, co istnieje i nadaje się jeszcze do użytku. Unikanie marnotrawstwa wydaje się jednym z głównych warunków umożliwiających budowanie osiedli jeśli nie piękniejszych, to na pewno bardziej wygodnych i higienicznych niż stara dzielnica Parthenay.

Dzieje wojny wandejskiej świadczą jednak niezbitcie, że i we Francji wcale nie zawsze przestrzegano zasady skrzetności, że działy się tu rzeczy, które określić chyba wolno jako bardzo mało kartezyjańskie. Jakiż sens dziejowy krył się w tym, iż na przedwiośniu 1794 roku w wielu osiedlach tutejszych zabrakło w ogóle zarówno budowli, jak mieszkańców? Działalność “kolumn piekielnych” oraz rozmiłowanego w puszczaniu czerwonego koguta generała Westermanna na pewno nie przyczyniła się do rozkwitu cywilizacji materialnej ani kultury moralnej w państwie.

Na co przydało się wystąpienie chłopów, które spowodowało aż tak wielkie rozmiary represji? Długo bowiem dyskutować można o tym, kto i kogo we Francji ówczesnej sprowokował.

“Wielka wojna wandejska”, cała bez reszty, z grubym okładem na obie strony, mieści się w chronologicznych granicach epoki Terroru. Oficjalnie uznano go za program państwowy we wrześniu 1792 roku, przyjmując tezę deputowanego Billaud-Varenne, że miecz Damoklesa winien zawisnąć nad całą przestrzenią Francji. Masowe powstanie wybuchło w pół roku później i wolno je uważać za swoistą odpowiedź ludzi zachęcanych przy pomocy owego ostrza do uprawiania cnót obywatelskich”. “Arniia katolicka i królewska” przestała istnieć, gdy Terror jeszcze nie osiągnął szczytu. Na siedem miesięcy przed przewrotem 9 thermidora.

Wszystkie — białe i błękitne alias czerwone — okropności stanowią zatem nieodłączne części składowe systemu świadomie wybranego’ wcale nie przez chłopów

wandejskich. Wszelki, który miecz bierze... musi się liczyć z tym, że delikwenci sięgną chociażby po kłonicę. Żadnych patentu skazańca nie bywa na świecie.

Według przyjętej przez wielu tezy, energia rządów Terroru ocaliła Francję od zagłady. Trudno jednak odmówić racji tym historykom, którzy przypisują tę pożyteczną dla całego świata rolę jeszcze i trzem innym czynnikom: liczebności narodu zdolnego do wystawienia siedmiusettyśięcnej armii, walorom odziedziczonej po dawnych czasach kadry wojskowej, no i całkiem niedobrowolnej pomocy ze strony państwa polsko-litewskiego, które zginęło, przestało istnieć, lecz zatrzymało na sobie znaczne siły monarchów. Do zareńskich połaci Europy można było dojść piechotą z Rosji równie dobrze za Katarzyny II, jak za Pawła I. Suworow pokazał się na Zachodzie dopiero w roku 1798.

Energiczne bez wątpienia rządy Terroru, środkami niewypowiedzianie okrutnymi, za cenę samą Francję dotkliwie osłabiających ofiar, usiłowały wyciągnąć kraj z tego absurdu, w który go zapędziło oszalałe doktrynerstwo. Popierającym to twierdzenie argumentem są wszak obydwie wojny — domowa oraz z nieprzyjacielem zewnętrznym, rozpoczęta dobrowolnie i najniepotrzebniej w świecie. Przyda się również rzut oka na dzieje administracji. Najpierw skrajne osłabienie centralnej władzy wykonawczej, zasada obieralności wszystkich ogniów prowincjonalnych, wynikły stąd nieopisany chaos, potem nagły zwrot o sto osiemdziesiąt stopni : pełny autokratyzm Komitetu Ocalenia Publicznego w Paryżu, departamenty poddane absolutyzmowi delegowanych z centrali komisarzy, wyposażonych w prawa życia i śmierci. Jednym z nich był wysłany do Nantes Carrier. Wiadomo już, jakimi sposobami rządził. Wielu jego kolegów podobnie zasłużyło się ludzkości.

Doraźnie zwalczając rezultaty jednego absurdu, rządy Terroru zdecydowanie wkraczały w inny, jeszcze groźniejszy.

Wiosna 1794 roku była promienna dla Republiki. Rewolta wszędzie zgnieciona, najbardziej nieprzejednani Wandejczycy i Bretończycy zapędzeni do lasów lub między bagna, możliwości ich ograniczone do mało groźnych akcji partyzanckich.

Nieprzyjaciel zewnętrzny pokonany, odepchnięty. Armia spełniła swoje zadanie, została też wynagrodzona w sposób obiecujący.

Politycznie podejrzanym stał się Łazarz Carnot, genialny matematyk, królewski jeszcze oficer saperów, człowiek najbardziej zasłużony dla zwycięstwa, jego prawdziwy organizator. Dostał się do więzienia Franciszek Kellermann, ongi komendant wojskowy Alzacji z ramienia monarchy, tryumfator spod Valmy, zdobywca Lyonu. Trafił za kraty Łazarz Hoche, pogromca Austriaków i Prusaków, osobnik typu zbliżonego do Marceau.

Równie młody, waleczny, zdolny i humanitarny, lecz w odróżnieniu od tamtego dziedzicznego inteligenta — niepodrabiany syn ludu. Ojciec generała Hoche był w Wersalu stajennym. Ukrywać się musiał generał Wilhelm Brune, zjadły rewolucjonista, w przyszłości marszałek Napoleona. Los tych wysokich dowódców podzielił, czyli popadł w niełaskę i poszedł pod klucz oficer znacznie niższego stopnia, lecz po dzień dzisiejszy uchodzący za coś w rodzaju sztandaru rewolucji — Rouget de Lisle, autor *Marsylianki*.

Nadszedł taki czas, że wieści o zwycięstwach republikańskich wojsk francuskich stały się politycznie niewygodne dla zespołu mężów samowładnie zarządzających Republiką Francuską. W interesie ich leżało bowiem utrzymywanie i podsycanie mitu zagrożenia. Nadal obowiązywała teoria, że nie wolno popuścić cugli, bo Francja zginie.

Wróg cofał się tymczasem na wszystkich frontach, nie był obcy myśli o pokoju, na jego tyłach — czyli w Polsce i na Litwie — wybuchło i zdobyło się na ogromny wysiłek powstanie zbrojne, Prusy i Austria patrzyły w tamtą stronę i sobie nawzajem na ręce, Rosja zajmowała się przede wszystkim Wilnem i Warszawą. Ciężko doświadczony naród francuski mógłby w tych warunkach nieco odsapnąć. Rządcy jego mieli jednak własną wizję przyszłości, odmienną od powszechnie, to znaczy przez zdecydowaną większość, pożądaną.

‘ Już wtedy ludzie trzeźwi zastanawiali się nad niedocieczoną tajemnicą. Jak to być może — zapytywali — by pięciu obywateli załatwiało wszystko dla dwudziestu pięciu milionów?

Przywódcy żądali od narodu posłuchu totalnego. W miarę słabnięcia rzeczywistego niebezpieczeństwa dekrety stawały się coraz bardziej surowe, wstęp na szafot coraz łatwiejszy.

Nawet w monarchii dziedzicznej przywódca polityczny to zazwyczaj taki obrotny i sprytny człowiek, który potrafił w porę wymanewrować konkurentów i wypchnąć się na czoło. Roli decydującej nie musi wcale grać merytoryczna słuszność programu, gdyż znacznie potrzebniejsza okazuje się właśnie zręczność, swoista przezorność, połączona z bezwzględnością. Tak wygląda reguła, którą dzieje Wielkiej Rewolucji potwierdzają w sposób wyjątkowo wyrazisty.

Danton przegrał, powędrował na gilotynę, Robespierre — niedawny czuły przyjaciel — zatryumfował. Wcale łatwo sobie wyobrazić odwrotny przebieg wypadków. Sam na siebie wyostrzył jednak nóż polityk, który w chwili tak gorącej jak jesień 1793 roku odwrócił się plecami od paryskich intryg, skłębionych przy sterze rządowym, zabrał młodą małżonkę i na długich pięć tygodni uciał sobie weekend w Arcis-sur-Aube, gdzie w porze raczej nieodpowiedniej stosował się do horacjańskiej recepty :

Beatus ille qui procul negotiis Paterna rura bobus exercet suis...

Zatrudnienia same go odnalazły. Ostrzeżony przez przyjaciół, że jego polityczne akcje spadają, Danton powrócił do Paryża i rozpoczął wielką ofensywę pod hasłem : “Żądam oszczędzania krwi ludzkiej !” Program zahamowania Terroru był na pewno słuszny, lecz jego autor i szermierz musiał przegrać, bo się poprzednio zachował zupełnie niedorzecznie — na całych pięć tygodni odszedł od gry.

Robespierre stracił władzę i życie wskutek całej serii fałszywych manewrów, wcale nie okazał się przezorniejszy od Dantona. Najpierw narzucił prawo, pozwalające bez zgody Izby więzić i skazywać deputowanych, potem — 8 thermidora w tejże Izbie wygłosił niepojętą mowę, równającą się oskarżeniu całej Konwencji. Ponieważ nie wymienił nikogo, każdy mógł uważać, że do niego właśnie odnoszą się słowa o zdrajcach i nikczemnikach. “Bagno”, tchórzliwa, dotychczas podle uległa większość poczuła się więc solidarna ze spiskowcami, czyli ze zbrodniarzami, którzy w obawie o szyje zawzięcie knuli przeciwko mocodawcy własnych zbrodni. Nazajutrz — w historycznym, kończącym epokę Terroru dniu 9 thermidora — uwolniony z chwilowego aresztu dyktator marudził, zwlekał, nie mógł się zdobyć na stanowczość. Do podpisywania rozkazu akcji zabrał się w tej samej chwili, kiedy w drzwi sali ratuszowej wtargnął Barras na czele żołnierzy.

Zręczność, obrotność, brak skrupułów, umiejętność korzystania z cudzych błędów to właściwości duszy niewątpliwie cenne. Same w sobie nie stwarzają one jednak dostatecznej podstawy prawnej do dekretowania o właściwym sposobie pojmowania spraw ostatecznych lub do utożsamiania dwudziestu pięciu milionów, czasem zaś jeszcze znaczniejszej liczby obywateli z osobą własną przywódcy.

Działalność ludzi typu Robespierre’a zawsze popada w smutny konflikt z tym prawem przyrody, które dotychczas nie znało i zapewne nigdy nie pozna wyjątku. Głosi ono, że człowiek ma tylko jedno życie. A skoro tak, to niesłuszna jest chyba każda praktyka, która w imię najpromienniejszych chociażby wizji przemienia to życie w niewolniczą wegetację. Tak się przynajmniej rzecz przedstawia z punktu widzenia prowadzonych ku świetlanemu jutru.

Zdobycie władzy ułatwia Robespierre’owi okoliczność zasługująca na szczególną uwagę, bo należąca do zjawisk monotonnie powtarzających się w historii. Dyktator nosił przydomek Nieprzekupnego. Incorruptible! Jedyłą jego słabością życiową było zamiłowanie do wymuskanego stroju. Gdy we Francji obowiązywał niemal typ ubranego w długie majtki sankiuloty, on stale nosił kiuloty właśnie, pudrował się, podczas większych uroczystości ozdabiał kapelusz wysokim pióropuszem. Lecz nigdy w życiu nie wstał łapówki, o pieniądze nie dbał, od kobiet stronił, nie pił i nie grał w karty. W dodatku jeszcze mieszkał nie w

skonfiskowanym pałacu, lecz u stolarza. Wynajmował u niego pokój i był przez rodzinę gospodarza otoczony czcią.

Skromnemu, nie uganiającemu się za pieniądzem działaczowi łatwiej niż komu innemu zrobić pewną karierę. Cicho i skromnie zagarnąć sobie na własność państwo i prawo.

Do czegoż dojść by mógł Maksymilian de Robespierre, gdyby na domiar swych zalet nosił jeszcze prostacką bluzę i grube buty po kolana! Znaliśmy ostatnio w Europie takiego, co znacznie ułatwił sobie wykonanie programu tępienia całych narodów, bo nie jadał mięsa, do ust nie brał alkoholu, nie palił i zrećnie potrafił taić swój romans. Był także skromny i nieprzekupny.

Hrabia Honoriusz de Mirabeau włókł za sobą opinię najzupełniej różną od tej, która pchała naprzód Robespierre'a. Powszechnie i słusznie uważany był za rozpustnika, karciarza, szulera, notorycznego łapownika. Brzydki jak adiutant Belzebuba, imponował wspaniałą wymową, odwagą wystąpień, lecz cieszył się głęboką nieufnością króla i kolegów-rewolucjonistów ze Zgromadzenia Konstytucyjnego. By zagrozić mu drogę, powzięto zupełnie niemądrą uchwałę, zabraniającą powoływania ministrów z łona tejże Izby.

Mirabeau zmarł w kwietniu 1791 roku, nie sposób więc rozprawiać o tym, czego zdołałby może dokonać. Wydaje się jednak, że był on jednym z największych talentów epoki. Chciał w monarchii konstytucyjnej ustabilizować te podstawowe zdobycze rewolucji, które się rzeczywiście, później ustabilizowały w autorytatywnym cesarstwie Napoleona... po niepotrzebnym przelaniu rzeki krwi francuskiej i innej.

Ludwik XVI przezwyciężył odrazę i potajemnie dogadał się z czerwonym hrabią. Obiecał spłacić jego długi, przekraczające dwieście tysięcy franków, dawać co miesiąc sześć tysięcy, po zakończeniu zaś obrad Zgromadzenia wsunąć ciepłą ręką okrągły milion. Brzydki układ! Lecz ostatecznie... wymienione sumy były drobiazgiem w skali budżetu państwowego, wypłacenie ich zaliczyć by wypadło do kategorii mniejszego zła. La Fayette mawiał zresztą, że Mirabeau bierze łapówki, jednak tylko za działania zgodne z własnymi przekonaniem. Pracując nad tym, co uważa za słuszne, zarabia... w sposób niezbyt pięknie woniejący.

Stabilizacja nie nastąpiła wcześniej, Francja omal nie utonęła w orgii morderstw i... kradzieży. Wspomni się o tym za chwilę.

Spośród zespołu czołowych terrorystów najmniej straszny, najbardziej ludzki był Danton, osobnik o kieszeniach dość przepastnych. Zdawał sobie jasno sprawę, że elementy skrajne, do których sam należał, mogą liczyć na poparcie "skrajnej mniejszości" Francuzów, lecz nie zawahał się ani przed mordami wrześnieowymi, ani przed narzuceniem krajowi dyktatury. Gotów był jednakże ratować nawet króla, z góry uprzedzając, że jeśli sprawa okaże

się beznadziejna — odda głos za jego skazaniem. Ostatnią swą ofensywę polityczną prowadził w imię zawarcia pokoju i zakończenia Terroru. “Chce amnestii dla winowajców. Chce zatem kontrrewolucji” — perorował przeciwko niemu Robespierre.

Można długo spierać się o talent Dantona, zwalczać lub sławić jego racje. Nie da się natomiast zaprzeczyć, że tytuł Nieprzekupnego, nieczulego na zyski osobiste nie należał mu się żadną miarą.

Piękne to miano samo przez się nie pasuje jeszcze na zbawiciela ludzkości, bywa nawet mocno niebezpieczne. Przeszłość udzieliła nam na ten temat wielu dotkliwych pouczeń.

Uczucie zazdrości zalicza się niewątpliwie do głównych psychicznych motorów historii. Spełnia rolę częstokroć dodatnią, gdyż sprzyja rotacji społecznej, stale pomaga w podważaniu pozycji elementów w danej chwili uprzywilejowanych. Potrafi jednak zaślepić, skłaniać do darzenia przesadną ufnością indywidualów skromnych wobec jada, płci odmiennej, trunku i pieniądza, lecz całkiem bezwstydnym, gdy wchodzi w grę władza nad ludźmi. Wśród despotów zdarzali się nawet zupełni abnegaci w sprawach osobistych.

Znany jest szeroko przebieg rozmowy Mikołaja Boileau z Ludwikiem XIV, podczas której ten ostatni usłyszał, że najwybitniejszym pisarzem epoki jest Molière.

— Nie przypuszczałem — zdziwił się — ale pan zna się na tym lepiej ode mnie.

Drugi człon odpowiedzi monarszej wydaje się bardzo znamienity. Król z Bożej łaski, suweren znany z twardej ręki, głośno przyznaje, że nie jest wszechstronnym rzeczoznawcą. Podnajemca izby w mieszkaniu paryskiego stolarza nie był zbyt skłonny do składania takich wyznań, jakie od niechcienia rzucał główny lokator Wersalu. Uważał się za powołanego do rozstrzygania o wszystkim, co dotyczyło życia dwudziestu pięciu (czy siedmiu) milionów... równych, wolnych, pobratanych.

Interesująca różnica postaw miała przyczyny bardzo głębokie, znacznie przekraczające ważny problem kompleksów wyższości bądź niższości. Monarchia francuska wyrosła z tysiącletniej praktyki. Odszkodnią dla Robespierre’a i jemu podobnych była teoria, doktryna. Louis Madelin obszernie opowiada o usiłowaniach legistów królewskich, zapatrzonych we wzory rzymskie i żądających omnipotencji państwa. Dążenia te przez wieki całe napotykały sprzeciw monarchów, wspierających się na tradycji konkretnego działania w rzeczywistości krajowej, więc nie tylko łamanie, lecz i łączenia, godzenia, zszywania i łatania wielu elementów, stanowiących żywą materię dawnej Galii Cezara.

Doktryna, której służył Robespierre, jest znana. We Francji całej wszechwładnie i niepodzielnie zapanować powinna Cnota. Nieprzekupny przewidywał pewne trudności, o

czym świadczą jego własne słowa: “Terror, bez którego Cnota jest niemożliwa”.

Unicestwiwszy frakcje Héberta i Dantona, Robespierre mógł już swobodnie kroczyć ku swym celom. Właśnie wtedy rozpoczął się krótki na szczęście rozdział dziejów, zwany “Wielkim Terrorem”. Straszliwa ustawa z 22 prairiala (czyli 10 czerwca 1794 roku) znosiła postępowanie śledcze, pozbawiała oskarżonego prawa do pomocy ze strony obrońcy, zwalniała trybunał od obowiązku przesłuchiwania świadków i nakazywała mu albo uniewinniać, albo skazywać na śmierć. W przeciągu sześciu następnych tygodni w samym tylko Paryżu poszło na gilotynę tysiąc trzysta siedemdziesiąt sześć osób. Pośpiech procedury powodował niekiedy... pomyłki w adresie. Akt oskarżenia mówił o ojcu, wyrok spadał na syna. Zanim się połapano, było już po wszystkim.

Tradycyjne wyobrażenie każe nam widywać na ówczesnych szafotach francuskich wyniosłe, aż do końca wytworne i drwiące postacie arystokratów, ci-devant krwio pijców i ciemnych. Statystyka powiada, że tylko dwadzieścia procent skazanych w dobie Terroru należało do stanów uprzywilejowanych, do duchowieństwa lub szlachty. Pozostałe osiemdziesiąt procent to był lud, Stan Trzeci, o którym opat Sieyès tak pięknie pisał przed pięciu zaledwie laty, że będąc za monarchów niczym, pragnie stać się nareszcie czymkolwiek... Stał się, jak widzimy, stał się grubo więcej niż czymkolwiek, bo rekordzistą we wcale niepożądanym ofiarości.

Specjaliści przypominają uczenie, że szlachty i kleru było znacznie mniej niż ludu, należy więc wprowadzić odpowiednią poprawkę do obliczeń. Zastrzeżenie potrzebne i ważne dla nas. Ówczesni Francuzi nie oglądali jednak tablic statystycznych, lecz toczące się do koszy głowy ludzkie.

Bardzo interesujące są dane Jakuba Godechot, dotyczące emigracji. Czterdzieści dwa procent uchodźców należało do stanów uprzywilejowanych, niemal tyleż — czterdzieści procent — wywodziło się z ludu, to znaczy z drobnego mieszczaństwa, z rzemieślników i wieśniaków. Reszta należała do bogatego mieszczaństwa i do elementów bez określonej przynależności socjalnej, więc na pewno nie mających w żyłach krwi błękitnej. Największej ilości emigrantów dostarczył departament Dolnego Renu, zajęty na czas pewien przez Austriaków. W ślad za cofającym się wojskiem wrażliwym ruszyły tłumy chłopów, którzy woleli widocznie za granicą przeczekać reżim Cnoty.

Dzieje ustrojów totalnych dostarczyły już tak obfitego materiału, że wolno kusić się o spostrzeżenia natury ogólnej. Ma się w związku z tym prawo pobieżnie traktować ideologie, pomijając je nawet, zwracając pilną uwagę na kwestię równowagi umysłowej osób rządzących. Odnosi się bowiem wrażenie, że żądza niczym nie ograniczonej władzy, wściekła walka o

utrzymanie raz zdobytej zdolne są głęboko naruszyć tę równowagę, paraliżując zmysł moralny. Jakże bowiem inaczej wyjaśnić uparte niszczenie najcenniejszych substancji narodowych, popełnianie ciągle tych samych “błędów i wypaczeń”, gołym okiem widocznych dla tak zwanego szarego człowieka?

Był mędrzec, który głosił, że rządzącemu filozofowi wolno zdążać naprzód nie oglądając się w tył ani na boki, czyli na skutki swych czynów. Przyjdzie na to czas po osiągnięciu celu.

Można i należy chyba w podobnym wypadku odłożyć na bok filozofię, za to samego filozofa skierować do badania psychiatrycznego.

Od czasów starożytności rzymskiej mówi się o szale cesarów.

Celem Maksymiliana de Robespierre była Cnota. Spójrzmyż teraz na drogi, którymi do niej prowadził podopiecznych.

Dość się już w tej książce pisało o rzeziach i mordowaniu. W dniach funkcjonowania gilotyny przechodnie musieli niekiedy przeskakiwać rynsztoki pełne płynącej krwi. Mówiąc o kosztach, jakie ponosił naród, trzeba brać pod uwagę nie tylko straconych, lecz i pozostałych przy życiu. Tych, co przyzwyczajali się do warunków nieludzkich, musieli udawać, że pochwalają postępowanie rządu. Zarażanie śmiercią równa się degradowaniu człowieka, obniżaniu jego przydatności społecznej. Wszelki terror izoluje go od otoczenia, skłania do troski wyłącznie o siebie. Terrorysty osiągają swój ideał, gdy dzieci gotowe są denuncjować rodziców i odwrotnie.

Robespierre głosił, że w systemie rewolucyjnym kontrewolucyjne jest wszystko, co korrumpuje, Jean Paul Marat natomiast, który został zgładzony mniej więcej w połowie epoki Terroru, zdążył stwierdzić, że nigdy za czasów starego porządku nie było takich sprzeniewierzeń, jak we wzniosłych dniach pochodu ku Cnocie. Bardzo znaczną część skarbów kościelnych reformatorzy obyczajów po prostu ukradli, gdyż były z kruszcu. Komisarze polityczni rabowali bogatych mieszczan, wojownicy z “kolumn piekielnych” chłopów wandejskich Władze centralne oficjalnie nakazywały łupienie ziem zagranicznych, wyzwalanych w imię szczytnych ideałów, a to w celu ratowania finansów francuskich przed ostateczną katastrofą. Jak podaje Bernard Fay, czterdzieści osiem głównych miast belgijskich zapłaciło więc sześćdziesiąt milionów dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy liwrow kontrybucji czy podatku, z czego tylko trzynaście milionów trzysta sześćdziesiąt tysięcy trafiło do skarbu państwa. Ta metoda postępowania przetrwała rewolucję, zwycięsko wkroczyła w dobę cesarstwa. Marszałkowie Augereau, Masséna i Brune szeroko słynęli jako łupieżcy. Czyniąc przytyk do nazwiska tego ostatniego mawiano, że jego podkomendni uczciwi są w dzień, lecz

kradną o zmierzchu. Leży w tej chwili przede mną wizerunek żołnierza z korpusu mogunckiego. Zbrojny, długowłosa i brodaty, groźnie spoglądający mąż ma na sobie złachany, dziurawy na łokciach mundur, kamasze i trzewiki, z których sterczą bosa palce stóp. Realizm obrazka jest absolutny, dostawcy ówczesni okradali armię w sposób niezwykle bezwstydy. Produkcja papierowych butów rozwijała się w najlepsze. Był taki, co sumiennie dostarczył umówioną ilość par pończoch dla żołnierzy. Liczba się zgadzała, lecz były to pończoszki dziecinne. Państwo stało się widownią afer naprawdę imponujących, miejscowi i obcy kombinatory znaleźli piękne pole do popisu. Olbrzymi, złodziejsko-łapowniczy skandal wokół likwidacji Kompanii Indyjskiej został politycznie wyzyskany przy podkopywaniu Dantona, którego pewni przyjaciele skorzystali z okazji do obłowienia się. Po thermidorze w dość łatwy sposób zapobieżono rozmaitym zrywom “gniewu ludu”. Po prostu przestano płacić członkom sekcji paryskich, którzy poprzednio otrzymywali pieniądze za udział w każdym zgromadzeniu. Biura rządowe niesamowicie pęczniały od masowo zatrudnianych zwolenników... brania pensji przede wszystkim. Członkowie Konwencji wyznaczyli sobie pobory w wysokości osiemnastu liwraów dziennie na głowę, co wcale nie budziło entuzjazmu zgłodniałych, lecz zmuszonych do milczenia mas.

Oczywiście — zmuszonych do milczenia na ten temat. Bo gdybyż przynajmniej można było na dobre nabrać wody w usta...

Oto urywki listu, który napisał człowiek bezwzględnie prawy, wskutek denuncjacji wtrącony do więzienia: “Żołnierz, co tysiąc razy wyzywał śmierć w boju, nie lęka się jej na szafocie. Żałuje jedynie, że nie ujrzy więcej swego kraju i w jednej chwili straci szacunek ze strony obywatela, w którym zawsze widział geniusza opiekuńczego. Znasz, Robespierre, moją wysoką opinię o twoich talentach i cnotach, moje listy wysyłane do ciebie z Dunkierki, moje wyznania wiary w ciebie... moja cześć dla ciebie nie jest zasługą, jest aktem sprawiedliwości... Jeśli życie, które kocham tylko ze względu na ojczyznę, zostanie mi oszczędzone, będę słusznie wierzyć, iż zawdzięczam je jedynie twojej miłości do patriotów; jeśli — przeciwnie — złość moich wrogów wtrąci mnie do grobu, zstąpię doń błogosławiąc Republikę i Robespierre’a”.

Wszechwładny Komitet Ocalenia Publicznego miał na usługi liczną policję. Innym jej systemem dysponował mniej potężny, lecz bardzo zazdrosny o znaczenie Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego. W każdej gminie, w każdym dystrykcie, w każdym departamencie istniały “komitety nadzoru”, powołane specjalnie do przyjmowania denuncjacji i do zatrzymywania podejrzanych. Gęsta sieć... I groźna, skoro się przypomniał, że od 22 prairiala, aby wydać wyrok śmierci, nie trzeba już było przesłuchiwać świadków

prawdziwej czy też rzekomej zbrodni.

Opat Sieyès, zapytany, co robił podczas Terroru, odpowiedzieć miał zwięźle: “Żyłem”. Bardziej na miejscu byłby tu inny respons, znacznie późniejsze sformułowanie literackie: “Kłaniałem, aby żyć”.

Wytworzył się specjalny słownik polityczny, którego przepisów bezpieczniej było nie lekceważyć. Na jasnym jego kar tach figurowała Cnota, wszystkie słowa z nią spokrewnione i od niej pochodne, miłość, ludzkość, naród, patriotyzm, braterstwo, na czarnych zaś — trzykrotnie przeklętych! — potwory zrodzone przez piekło, tyrani, zdrajcy, spiskowcy, zgniłki, arystokraci tudzież bandyci. Biel olśniewająca i czerń smolista, innych kolorów nie uznawano. Piotr Bessand-Massenet znalazł w papierach Konwencji godne przytoczenia, naprawdę przez ludzi wygłoszone akty strzeliste: “Robespierre, kolumno Republiki, geniuszu nieprzekupny, który widzi wszystko, przewiduje wszystko, udaremnia wszelkie zło, którego nie można zmylić ni zwieść...” Albo inaczej, crescendo: “Patrzę na ciebie jak na Mesjasza, którego nam obiecała Istota Najwyższa, by zreformować wsze rzeczy...” Generał, autor przytoczonego przed chwilą listu, wyrażał się jednak choć trochę po żołniersku, powściągliwiej niż politycy.

10 thermidora, gdy rzucony na stół w Tuilerych dyktator spływał krwią ze strzaskanej szczęki próbował bowiem samobójstwa wokół tłoczyły się osoby politycznie aktywne, łącząc kolumnę Republiki, wczorajszego Mesjasza, w sposób obrzydliwy. Wieczorem korowody taneczne otaczały wózek, wiozący go na dzisiejszy plac Zgody, na gilotynę.

Nie można przemilczać tych objawów, gdyż oznaczały one już osiągnięty stopień deprawacji, w języku urzędowej ideologii zwanej Cnotą.

Historia wystawia rozmaite rachunki, bywają między nimi szczególnie ciężkie, czyli takie, co przewidują odległe terminy płatności. Napoleon mawiał, że niepodobna rządzić narodem bez religii. Tezie cesarza przeczyć się zdaje samo istnienie Chin. Można za to uparcie bronić twierdzenia, że niedaleko zajdzie społeczeństwo pozbawione poczucia przyzwoitości. Takie, w którym nad każdym człowiekiem stać musi nadzorca, wcale zresztą nie trzymający rąk w kieszeni, takie, w którym niczyjemu słowu nie można zaufać, na nikogo liczyć. Długotrwałe oddziaływanie strachu, donosicielstwa, złodziejstwa i kłamstwa musi prowadzić do rozkładu społeczeństwa. Pojęcie to odnosić się wszak może tylko do ludzi stale powiązanych pomiędzy sobą tysiącnymi więzami współzależności natury materialnej i moralnej, zdolnych do uznawania wzajemnej lojalności za zasadę odnoszącą się do praktyki życia, a nie za transparent z wiecu politycznego. Rządy terrorystyczne z reguły zmierzają do całkowitej izolacji człowieka, pozbawiają go jakiegokolwiek obrony i oparcia w obliczu

wszystko na swój użytek zagarniającej władzy.

Rządy Terroru trwały we Francji niepełne dwa lata zaledwie. Dla pokolenia dojrzewających wtedy Francuzów Terror stanowił w przyszłości fragment wspomnień. Nie mógł przeminąć bez skutków wychowawczych, lecz nie zdążył się stać jedyną szkołą obyczajów. Historia niezbyt wiele wpisała do długoterminowego rachunku. Zapobieżono temu.

Komitety rewolucyjne miały swą siedzibę w Tuileryach.

W ciepłych porach roku przychodziło tam do pośpiesznego zamykania okien, by spacerująca wokół publiczność nie uległa zgorszeniu słysząc obelgi, jakimi obrzucali się nawzajem słudzy Cnoty, na zewnątrz, wobec motłochu, występujący zawsze jako zespół solidarny, do samej głębi duszy zbiorowej oddany szczytnym powołaniom. W gruncie rzeczy każdemu z tych mężów chodziło o siebie, więc w istniejących warunkach nie tylko o władzę, lecz o życie. Z konieczności solidarna kohorta już niemal skazanych zdołała w ostatniej chwili obalić Nieprzekupnego, co w przekonaniu autorów i wykonawców 9 thermidora wcale nie miało prowadzić do zmiany systemu rządzenia. Oni zamierzali zmienić tylko ekipę rządzącą, wysławszy na śmierć Robespierre'a, Saint-Justa i Couthona, ulokować się na ich miejscu i robić to samo, co tamci. Fouquier-Tinville, policjant królewski, potem prokurator Trybunału rewolucyjnego, który oskarżał, skutecznie pchał na gilotyne żyrondistów, królową, Dantona, własnego krewnego i przyjaciela Kamila Desmoulins, teraz przystąpił do oskarżania robespierrystów i zamierzał pełnić swą funkcję nadal. Uważał się za powołanego do obsługiwania, na poczesnym stanowisku, wszystkich kolejnych faz kosztownej dla innych ludzi historii. Dwa lata! Tylko dwa lata podobnych doświadczeń zniosła Francja ówczesna.

Louis Madelin poświęca w swych książkach szczególną uwagę temu, co się działo 10 thermidora, czyli 28 lipca 1794 roku. Po trwających dwadzieścia cztery godziny obradach członkowie Konwencji wyrzeli z Tuilerii na świat biały i nie poznali Paryża. Stolica szalała z radości, ludzi ogarnęło delirium. Tłumy zdążyły się już upoić... w ich własnym przekonaniu nieuchronnie powracającą wolnością. Noszono na rękach tych, co obalili Robespierre'a, symbol tyranii. Całowano skraje szat... wczorajszych katów Marsylii i Lyonu. Lud stołeczny przypisał własne pragnienia takim padalcom, jak Tallien, Fouché, Fréron czy Barras. Aż do przesady hojnie obdarzył ich zaufaniem na kredyt, lecz widok rozszalałej ulicy był nie tylko święteczny. Był także groźny. Okrzyki wesela łatwo przeistoczyć się mogły w nowe, stołeczne tym razem: "Rembarre!"

Gorący pejzaż lipcowy rozgrzał krew w żyłach ogromnej większości członków Konwencji. Poczuli się znowu ludźmi tacy, dla których szczytem bohaterstwa było

dotychczas powstrzymywanie się od głosu. “Bagno” ożyło, “równina” zaczęła falować. Zwolennicy programu zachowania zdobyczy rewolucji, lecz wyrzeczenia się wizjonerskich opętań nabrali tchu w płuca. “Konwencja popadła w absolutną zależność od opinii publicznej” — stwierdził wkrótce Mallet du Pan. W takiej zależności nie ma zbrodni i Francja ówczesna wcale nie zrobiła złego interesu.

Najobrotniejsi spośród terrorystów zorientowali się bystro, mniej sprytni, ochoczo zresztą poświęceni przez własnych kolegów, wylądowali wkrótce na gilotynie lub za Atlantykiem, w Gujanie. Tam właśnie, w kolonii karnej, dokonał dni swoich Jan Collot d’Herbois, terrorysta przykładowy, jeden z głównych sprawców obalenia Robespierre’a. Lepiej znacznie powiodło się Bertrandowi Barère de Vieuzac, który tak wymownie zachęcał do zrównania Wandei z ziemią. Musiał się ukrywać, lecz udało mu się doczekać szczęśliwie czasów Napoleona. Geniuszem w zakresie politycznego pływactwa okazał się protektor przyszłego cesarza, wicehrabia Paweł de Barras, który za czasów Terroru masakrował w najlepsze, po thermidorze został wojskowym komendantem Paryża, potem Dyrektorem — jednym z pięciu co prawda, lecz, tym nieusuwalnym.

Aby nie wywoływać fałszywego wrażenia, że tylko członkowie stanu szlacheckiego umieli postępować jak kameleony, rzućmy okiem na życiorys rzeźnika paryskiego, Ludwika Legendre. Skontrolować prawdziwość danych każdy może bez trudu, odkąd Larousse wydał “Dykcjonarz Rewolucji”, opracowany przez Bernardine Melchior-Bonnet.

Obywatel Legendre należał do organizatorów zdobycia Bastylia, zmusił Ludwika XVI do włożenia czerwonej Czapki frygijskiej, w Konwencji zasiadał na skrajnej lewicy, wśród “górali”, przyjaźnił się z Dantonem i Robespierre’em, lecz potrafił w porę odsuwać się od nich. Po thermidorze osobiście zamykał Klub Jakobinów, kierował tłumieniem rozruchów ludowych.

Kto z terrorystów zdołał się utrzymać, wylawirować, ten wcale nie wyklął metod okrutnych. W 1795 roku aż dwukrotnie popisał się Jan Tallien, małżonek pięknej Teresy, zwanej “Notre-Dame de Thermidor”. W maju, podobnie jak Legendre, uczestniczył w represji wobec plebsu, który naszedł Konwencję żądając chleba, w lipcu kazał rozstrzelać siedmiuset pięćdziesięciu jeńców-emigrantów, wziętych do niewoli podczas nieszczęsnej próby desantu na półwyspie Quiberon. W obawie o własne przywileje wódatarze srożyli się dorywczo raz na lewo, raz na prawo, lecz po thermidorze terror stał się niemożliwy jako system rządzenia.

Nie ma w tym żadnej zasługi tak zwanych “thermidorianów”. Cała sława należy się narodowi francuskiemu, który nie popadł w śmiertelny grzech bierności. Od wypadku do wypadku, pod hasłem walki o drogie mu cele, oszukańczo zaprowadzony przez “skrajną

mniejszość” w fatalne położenie, przy pierwszej poważnej sposobności dał do zrozumienia, że ma dość niewolniczej praktyki, przysłoniętej patetycznymi deklamacjami na temat wolności. To, co w zamierzeniach rozmaitych Tallienów i Frezonów miało być tylko przewrotem pałacowym, stało się przełomem historycznym. Tym razem naprawdę można było powiedzieć: lud tak chce! Ogół Francuzów nie zgadzał się na program polegający na tym, że godne tego miana życie ustaje, nad powszechną moralną i społeczną martwością jedni tylko politycy rozwijają do lotu skrzydła — “nie tyle orle. co gawronie”.

Ukarano śmiercią sędziego, który skazując na gilotynę Antoniego Lavoisier, twórcę chemii nowożytnej, ironicznie oświadczył, że “Republika nie potrzebuje uczonych”. Zwłoki Marata usunięto wkrótce z Panteonu. Francja zaczynała wymiatać nieczystości.

Jakże lekkomyślnie postąpili działacze, którzy puścili mimo uszu ton stanowiący główną melodię “Kajetów skarg”! Pomimo wszystkich filtrów i recept redakcyjnych wyziera z nich przecież ta prawda, że ogół Francuzów nie nadawał się do przeróbki na personel obsługujący politykę i polityków, już kiełkujące przekonanie, że to raczej władza powołana jest do obsługiwanego potrzeb społeczeństwa. Powróćmy do pięknego porównania z tychże “Kajetów”: narzucać ich autorowi, czyli narodowi francuskiemu, niewolniczą bierność było równie roztropnie jak wsadzać kawalerię francuską na woły.

Tyle pięknych pomników — katedr i pałaców, miast i twierdz — pozostawił po sobie “stary porządek”, Ancien Régime. Rozpoczęta obecnie tak zwana przebudowa paryskiej dzielnicy Marais polega właściwie na jej oczyszczeniu. Usunięte być mają czynszowe kamienice, budy, kramy, warsztaty i temu podobne dodatki XIX stulecia, by pełnia dawnej krasy powrócić mogła w ulice, które pomimo oszpeceń nie przestały być ładne. W dziedzinie dorobku moralnego za najpiękniejszy pomnik starego porządku uważać mi wolno tę postawę jego wychowanków, która się przejawiała zarówno w “Kajetach skarg”, jak w radosnym upojeniu 10 thermidora. Monarchowie z rodu Kapetyngów uważali Francuzów za swych poddanych, lecz nie wychowali ich na niewolników. “Kajety” przepełnione są rzewnymi wspomnieniami o Henryku IV, twórcy i proroku ideologii kury w garnku na niedzielę... Wiadomo powszechnie, że temu potężnemu królowi pewien smołarz powiedział prosto w oczy: “Każdy jest panem w swojej chałupie”. Moralni potomkowie owego mówcy tylko przez dwa lata grzeszyli serwilizmem wobec takich, co usunąwszy poniżające miano poddanego, zastąpili je tytułem obywatela, po czym najęli całe falangi dozorców i szpicli, by we dnie i w nocy zaglądali w okna wspomnianej przed chwilą budowli.

Chłopi wandejscy w ogóle nie zgodzili się ugiąć karku. W marcu 1793 roku sposobem gwałtownym i okrutnym wnieśli do historii ten sam protest ludzi spragnionych wolności, na

jaki ulica paryska pozwoliła sobie dopiero w kilkanaście miesięcy później, w okolicznościach sprzyjających. Ciężko zapłacili za swój ślepy, bo przedwczesny, poryw, który znacznie łatwiej potępić niż ocenić.

Jeżeli największą zdobyczą Wielkiej Rewolucji Francuskiej było utwierdzenie zasady równości wszystkich ludzi wobec prawa i państwa, to pozornym tylko paradoksem wyda się twierdzenie, że "biali" wandejscy byli najbardziej konsekwentnymi obrońcami tego nowoczesnego dogmatu. Wybierali plebejuszy na przywódców, jednego z zawezwanych do współdziałania szlachciców spotkała przygoda dość zabawna, lecz poniekąd symboliczna. Ruszając ze swego zamku chciał dosiąść konia, ale tłumnie zgromadzeni chłopci poprosili grzecznie, aby na razie postępował tak jak oni, to znaczy szedł pieszo. Na wierzchowca przyjdzie pora później, w polu i w boju.

Z punktu widzenia nowych włodarzy grzechem Wandejczyków było właściwie nic innego, jak żądanie urzeczywistnienia równości w praktyce. Sielskim parafianom nie mogło się w głowach pomieścić, że poglądy niektórych mieszczan na sprawy religijne mają być czymś lepszym niż wieśniacze, że wyborcami proboszcza zostaną ci, co rozporządzają gotówką, a nie ci, co będą się u niego spowiadać. Zasada równości, podobnie jak każda inna, może być dwojako użytkowana: posłużyć za temat do zawiłych interpretacji, przysłaniających konkretne interesy, albo materializować się w dniu powszednim, w sensie dla wszystkich zrozumiałym. Teoria zniesienia przywilejów nie zdołała przysłonić faktu wyrastania nowej, bardzo bezwzględnie postępującej elity, republikańskiej szlachty, o wiele potężniejszej niż dawna, herbowa. Gdzieś daleko powstawały ośrodki przypisujące sobie prawo dekretowania o wszystkim, co istnieje i kształtuje życie ludzkie. Pojawiła się pryncypialna, rzekomo oświecona, aż nazbyt materialnie odczuć się dająca pogarda wobec przekonań i rzeczy, które inni ludzie kochali.

"Kajety skarg" dowodzą, że naród francuski dojrzał do zasady równości. Wojna wandejska może być uważana za świadectwo, że wielu Francuzów potrafiło się tym hasłem przejąć w sposób naiwny, srogo prostolinijny. Wieśniak, człowiek na co dzień obcujący z przyrodą, miewa naturalną skłonność do poważnego traktowania życia, to znaczy do niezbyt nerwowego zapatrywania się na zjawisko śmierci. Wiele znaczenia w powszechnym dawniej obyczaju wczesnego zaopatrywana się we wszystko, co potrzebne w ostatniej wędrówce. Człowiek statecznie odnoszący się do życia nie będzie się przecież ośmieszać, stroniąc od myśli o sprawie absolutnie pewnej, nieuniknionej. Mniej zatem niż kogo innego przeraża go możliwość przekroczenia progu w obronie wartości ważnych dla organicznie istniejącego zespołu, którego część składową on sam stanowi.

Dlaczego powstanie wybuchło w Wandei właśnie, skoro i w innych prowincjach dawały się odczuwać te same zjawiska natury socjalnej, ekonomicznej i politycznej? Nad tym pytaniem historycy dopiero się głowią.

Duży, odległy od znaczniejszych miast i dróg, dziś jeszcze bardziej od innych prymitywny region był — może — szczególnie skłonny do surowego sposobu reagowania na bodźce ujemne. Mieszkańcy jego raczej sprzyjali rewolucji i jej początkowym hasłom, do wystąpienia przeciw sprowokowały ich dopiero doktrynerskie obłądy i cynizm nowych włodarzy. Zwróćmy na to uwagę, bo wydaje się stąd wynikać, że synowie prymitywnego regionu działali wskutek podnieć mocno skomplikowanych, nawet subtelných. Zupełnie podobne do prawdy, że nie tylko teoretycy, lecz i liczni wykonawcy kontrrewolucji byli rewolucjonistami na swój sposób. Kto nie sprzyjał panoszeniu się rozkapryszonych dworaków wersalskich, ten wcale niekoniecznie musiał jednak pragnąć znacznie bardziej dotkliwej dyktatury ludzi upojonych rozkoszami świeżo zdobytej władzy.

Pod adresem Wandei hojnie wówczas szafowano epitetami, lecz żaden z nich nie pasuje do treści kontrrewolucji, o której nie sposób rozprawiać temu, kto nie uznaje potrzeby trudnych rozróżnień. Na skomponowanym w początkach rewolucji trójkolorowym sztandarze Francji widniał pas biały, co oznaczać miało unię starych tradycji z nowym porządkiem, reprezentowanym przez błękitną i czerwoną barwę Paryża. Dyktatura jakobińska i rządy Terroru jakby zapomniały o złożoności stosunków krajowych, symbolizowanej przez samą chorągiew państwową. Gdy La Fayette obmyślał jej wygląd, spokojnie było w Wandei. 'Potem biel-pozostała wprowadzić na chorągwianych płachtach, lecz ludzi żądających jakiego takiego respektu dla niej wypchnięto do lasów i za żywopłoty.

Znaczenie wystąpienia paryżan, manifestujących przeciwko dalszemu trwaniu terroru, jest widoczne gołym okiem. Czy przyniosło jakąkolwiek korzyść okupione strasznymi cierpieniami powstanie wandejskie? Chcąc dokonać próby odpowiedzi na to pytanie, trzeba znowu powrócić do skrwawionego kraju.

Powstanie zostało stłumione w tym sensie, że przestała istnieć "armia katolicka i królewska", lecz opór zbrojny trwał, ocaleli i po partyzancku nadal walczyli niektórzy z przywódców. De la Rochejaquelein poległ wcześniej. Zapragnął wziąć do niewoli zbłąkanego żołnierza, ten zaś wystrzelił raz jeden tylko, za to celnie. Pragnąc się upewnić co do faktu, władze kazały rozkopać mogiłę i sprawdzić, kto w niej leży. Zabrakło "Achillea wandejskiego", nie złożył broni "wandejski król", Franciszek Atanazy de Charette de la Contrie, osobnik, który z wielkim powodzeniem mógłby zapewne piastować buławę atamana Kozaków Zaporoskich lub Dońskich, bo nie tylko doskonale jeździł konno i dowodził

ruchliwymi oddziałami, lecz był dawniej oficerem monarszej marynarki wojennej, uczestniczył w zwycięskich bitwach morskich. Beletrystyka historyczna niesłusznie wszczepiła nam przekonanie, że takie typy jak Charette stanowią wyłączną właściwość Europy Wschodniej. Na skrajnym Zachodzie kontynentu, w przyległej do Atlantyku połaci Wandei, długo popisywał się niesforny, lubiący towarzystwo pięknych amazonek oraz rycerskie gesty, odważny i okrutny, romantyczny watażka. 10 sierpnia 1792 roku Charette bronił Tuileries, z pogromu i rzezi stronników króla ocalał się podobno dzięki oryginalnemu pomysłowi. Podjął z bruku urwaną pewnie przez pocisk nogę gwardzisty szwajcarskiego i ostentacyjnie nią wymachiwał. Tego rodzaju legitymacja sankiulockiej prawomyślności pozwoliła mu zmieszać się z tłumem zwycięzców i ująć cało. Wspomnienia tuileryjskie nie mogły pozostać bez wpływu na późniejszą srogość eks-marynarza, ciekawe jednak, że i on ruszył w pole dopiero na zaproszenie ze strony chłopów.

Innym, równie nieustępliwym i wytrwałym przywódcą partyzantki wandejskiej został już w tej książce wspominany Jan Mikołaj Stofflet, plebejusz niepodrabiany, ci-devant podoficer piechoty i gajowy.

Już przed przewrotem thermidoriańskim władze paryskie połapały się, że działalność “kolumn piekielnych”, w przewidziany i nakazany sposób pustoszących Wandę, osiąga ponadto pewien skutek uboczny. Zapędza do lasów, pod rozkazy wspomnianych przed chwilą mężów, tysiące zrozpaczonych, nk już nie mających do stracenia ludzi. Ta okoliczność również przyczyniła się do wyraźnego złagodzenia kursu. Kiedy zabrakło Robespierre’a, doszedł do głosu element przez niego i przez jakobinów mocno ostatnio podejrzany o nieprawomyślność — wojskowi. Na wniosek Łazarza Camot surowo zakazano wszelkich akcji przeciwko ludności cywilnej. Śmiercią karani być mogli tylko przywódcy partyzantów, schwytanych szeregowców należało internować. Komendę nad wojskiem objęli świeżo wypuszczeni z więzień generałowie Hoche i de Canclaux, Francuzi “błękitni” zaczęli pertraktować z “białymi”. 1 grudnia 1794 roku, znowuż z inicjatywy Carnot, rząd ogłosił zupełną amnestię dla wszystkich, co w przeciągu miesiąca złoży broń.

26 lutego 1795 roku Nantes przeżywało emocje i oglądało widoki możliwe tylko w bajce lub w rzeczywistej historii. Miasto, mające w świeżej pamięci okrucieństwa Jana Chrzyciela Carrier, nie zmieniło przynależności państwowej ani ustroju, pozostawało republikańskie. Mieszkańcy jego tłumnie wylegli na ulice, by oglądać uroczysty wjazd Franciszka de Charette, przystrojonego na tę okazję w białą szarfę ze złotymi kwiatami lilii Burbonów, w biały pióropusz. Po prawicy i lewicy konnego partyzanta jechali generałowie rewolucyjni, za nimi oddziały stron obu oraz ozdobione czerwoną czapką frygijską karety, w

których zasiadali przedstawiciele Konwencji. Na placu tak niedawnych straceń wszyscy odkryli głowy.

Dziesięć dni wcześniej Francuzi z dwu zwaśnionych obozów zawarli w przyległym do Nantes La Jaunaie traktat pokoju. Lek powszechnego pojednania zasklepić miał rany. Rząd zobowiązał się nikogo nie ścigać za przeszłe uczynki, przyjść z jednakową pomocą wszystkim — zarówno “białym”, jak “błękitnym” — ofiarom wojny, wypłacić odszkodowania, przyczynić się do odbudowy, zwrócić spadkobiercom mienie osób straconych za działalność kontrrewolucyjną, zdjąć sekwestr z dóbr emigrantów. Dotychczasowi powstańcy zachowywali broń i mieli pilnować spokoju w swej ojcowiznie.

Układ ogłaszał całkowitą swobodę kultu. Oporni, niezaprzyśiężeni księża powracali do pełni swych praw kapłańskich.

Jawnym warunkom porozumienia jakoby to towarzyszyły tajne, dotyczące ni mniej, ni więcej, jak przywrócenia monarchii. W określonym terminie władze wydać podobno miały Wandejczykom młodocianego Ludwika XVII. Jeśli ta obietnica nawet istniała, to nie mogła być spełniona w żaden sposób. 8 czerwca udręczony chłopiec zmarł w Paryżu.

W ślady Franciszka de Charette poszli wkrótce szuani bretońscy, najpóźniej — bo dopiero 2 maja — zdecydował się na to Stofflet. Wszyscy oni zawarli i podpisali porozumienia pokojowe. Zdawało się, że wojna domowa ustała na dobre.

Rozpaliła się znowu już wkrótce, w czerwcu, gdy flota angielska dokonała desantu na półwyspie Quiberon, wysadzając na ląd zbrojne siły emigrantów. Stofflet i de Charette porwali się do oręża, oskarżając Paryż o niedotrzymanie, warunków umowy, lecz nie stać ich już było na dostarczenie znaczniejszej pomocy. W kilka miesięcy później przyplacili swój upór życiem, ujmowani kolejno, do końca zachowujący się z ogromnym poczuciem godności własnej. Pierwszego z nich rozstrzelano w Angers, drugiego w Nantes.

Historycy dotychczas nie rozstrzygnęli, kto kogo oszukał w La Jaunaie. Zawarty tam traktat sprawia istotnie wrażenie dosyć fantastyczne i długo utrzymać się nie mógł. Jednakże stanowi on wyraźną granicę: wszystkie późniejsze usiłowania kontrrewolucyjne inspirowane były i kierowane z zewnątrz, przez emigrację, pozbyły się na zawsze charakteru autentycznych i masowych zrywów ludu. Bretania i Wandea nie doczekały się Ludwika XVII. Tallien bez skrupułów kazał rozstrzelać wziętych na półwyspie Quiberon jeńców, lecz generałowie — zwłaszcza zaś Hoche — dopilnowali przynajmniej pokoju religijnego, zapobiegli ponownemu sprowokowaniu wieśniaków. Zdrowy rozsądek odniósł, pomimo wszystko, sukces.

Trwało nadal we Francji typowe dla potermidoriańskiego okresu prowizorium.

W 1795 roku znajdujący się podówczas w niełasce generał Napoleon Bonaparte

otrzymał i odrzucił propozycję objęcia; dowództwa jednej z czynnych w Wandei brygad piechoty. Ceniący swą specjalność artylerzysta nie chciał pono jej porzucić. Podobniejsze do prawdy, że rozpierany ogromnymi ambicjami człowiek wolał czekać na sposobność w Paryżu zamiast uganiać się za laurami małej wojenki. Już wcześniej Hoche doszedł do słusznego wniosku, że z partyzantami najłatwiej się uporają inni partyzanci, i zaczął zwalczać szuanów przy pomocy drobnych, lecz ruchliwych oddziałów.

Generał Bonaparte odmówił zatem wojowania w dzielnicy, którą w niezbyt odległej przyszłości miał odwiedzać jako cesarz Napoleon I.

W cztery lata zaledwie po przezornym odrzuceniu propozycji Korsykanin objął władzę we Francji, został pierwszym konsulem. Ogromna większość uczestników zarządzanego zaraz plebiscytu potwierdziła fakt dokonany. Przeszło trzy miliony głosujących powiedziało "tak", tylko półtora tysiąca protestowało. Sielanekę psuła nieco ta okoliczność, że więcej niż cztery miliony uprawnionych nie pofatygowało się do urn. Dopiero dzień 14 czerwca 1800 roku utwierdził pozycję pierwszego konsula, zapewnił mu dalsze zawrotne awanse. -Stoczono wtedy bitwę pod Marengo, którą Bonaparte właściwie przegrał. Zwycięstwo przechyla na stronę Francji generał Desaix. Ludwik Karol Antoni des Aix, kawaler de Veygoux, arystokrata całym sercem nawrócony na stronę rewolucji, nawet w podbijanym Egipcie szanowany za prawość, zdążył w porę przybyć pod Marengo, by rozstrzygnąć o wygranej i polec. Dokładnie w rok i jeden dzień później, pod pełnymi żaglami płynący już do jedynowładztwa Bonaparte umocnił niejako jeden z punktów fantastycznego układu z La Jaunaie. Podpisał konkordat z papieżem, pokój religijny, o który powstańcy i partyzanci walczyli dla Wandei, rozszerzył na całą Francję.

Teologowie i statyści z Watykanu prowadzili pertraktacje w imieniu Piusa VII. Pierwszy konsul wyznaczył ze swej strony osobistość już raz jeden w tej książce wspomnianą, a to przy okazji wzmianki o bitwie pod Viniers: księdza Stefana Bernier. Proboszcz z Angers w bardzo czynny sposób działał w Wandei po stronie "białej". Należał do "armii katolickiej i królewskiej", nie uspokoił się i później, w okresie partyzanckim. Rozmaici pisarze oskarżali go nawet o bezwzględność mało przystojną osobie duchownej. Ksiądz Bernier wywierał — według nich — znaczny wpływ na Jana Mikołaja Stofflet. Skłonił go podobno do rozstrzelania bohatera spod Savenay, oficera powstańczego nazwiskiem de Marigny, którego występki polegały na działaniu na własną rękę. Potem skutecznie odwoził eks-gajowego od układów z republikanami, w końcu wydał go w ich ręce. Za zasługi przy zawieraniu konkordatu Stefan Bemier został biskupem Orleanu.

Można sobie darować roztrząsanie tych ponurych zarzutów i zawiłości, bo co innego

jest ważne. Uznać przyjdzie, że los okazał się wówczas mocno niełaskawy dla Francji. Mózgiem politycznym na miarę potrzebną wielkiej epoce okazał się dopiero Bonaparte. Człowiek zajęty utwierdzaniem w nowym, autorytatywnym ustroju głównych zdobywców rewolucji, znalazł sobie pomocnika wśród takich, co krwawo zwalczały rewolucyjne ekstrawagancje. To one stanowiły istotną przyczynę sprawczą, kosztowały dwieście tysięcy ofiar ludzkich. Francja niezbędnie potrzebowała pokoju religijnego, czynnika tak ważnego dla całego stylu życia kraju. Łatwiej było ten pokój od początku zachować niż go odzyskać po tylu zbytecznych w gruncie rzeczy tragediach.

W samych początkach powstania, gdy słabo jeszcze uzbrojeni chłopcy chwalili się głośno, że nie ma pomiędzy nimi ani jednego mieszczanina czy szlachcica, władze miejscowe otrzymały naiwny list. Oddział "gwardii królewskiej", czyli powstańcy, z Challans domagał się od prowincjonalnych urzędników decyzji, które powziąć mógł tylko Paryż, gdyż dotyczyły polityki państwowej. Dwa spośród wysuniętych żądań przykuwają uwagę dzisiejszego czytelnika. Wieśniacy chcieli "trwania naszej religii katolickiej, apostołskiej i rzymskiej" oraz księży niekonformistycznych. W zakończeniu swego pisma stwierdzali: "Z całego serca i ducha pragniemy, by braterstwo, wolność i równość trwały między nami z całą mocą i aby skutek tego nastąpiła wzajemna amnestia".

Historia zaprzeczyła wywodom ideologów totalizmu, przyznała rację autorom naiwnego listu. Stwierdziła, że zawarte w nim żądania natury ideowej nadawały się do pogodzenia. I pogodziły się wcale komfortowo, skoro dzisiejsi parafianie wandejscy zaraz za krzyżem noszą podczas swych procesji republikański "tricolore". Porozumienie co do warunków ustrojowych nawet jest łatwiejsze wtedy, gdy nikt nie żąda, by ludzie zaparli się dusz własnych, pozapolitycznych przekonań i umiłowań. W tej mierze popłaca tylko rzetelność, w najpiękniejsze hasła haftowane parawany nie pomagają. Naturalnie, jeśli chodzi o ludzkie społeczeństwo, nie zaś o horde indywidualistów, gotowych jutro kopać obcasami dzisiejsze bożyszcza.

Sens powstania wandejskiego... Trudno odmówić jakiegokolwiek, nie tylko zresztą moralnej, racji ludziom, którzy stawiali opór zupełnie już nieograniczonym uroszczeniom władczym. Szczególnie ostrożnie traktować należy potępiające werdykty dzisiaj, w stuleciu XX, gdy aż nazbyt dobrze wiadomo, do jakich nieszczęść, zaprowadzić może ręka uwolniona od wszelkich hamulców. Doświadczenia na ten temat zbierano zresztą i wówczas, w wieku XVIII, bo Terror szalał również w tych prowincjach, które zachowywały się potulnie.

Istnieje ówczesna karykatura przedstawiająca Robespierre'a, który—po zgilotynowaniu wszystkich Francuzów—własnoręcznie gilotynuje kata. Za plecami

Nieprzekupnego widać żalobną piramidę — grobowiec z napisem “Tu spoczywa Francja”. Nie tak znów wiele przesady, jeśli się wspomni zlecenia Saint-Justa: “Karzcie nie tylko zdrajców, lecz nawet obojętnych; karzcie każdego, kto zachowuje się w republice biernie i nic dla niej nie robi”. W tej recepcie tylko pojęcie kary rysuje się ściśle, reszta jest złowrogo mętna. 17 listopada 1793 roku ścięto generała Jana Mikołaja Houchard, a to pod zarzutem niewyzyskania wygranej bitwy. Czy wyzyskał ją należycie, sprawa sporna. Trudno jednak twierdzić, że nie zrobił “nic”, skoro pobił w polu Anglików i Austriaków.

Nie przewidywano oczywiście konieczności zgilotynowania wszystkich Francuzów. Marat obrachował, że wystarczy posłać na szafot ze ćwierć miliona osób. Po takim zabiegu reszta ci-devant społeczeństwa byłaby tyleż warta, co przeciętne gospodarstwo wandejskie po przemarszu „kolumny piekielnej”, słusznie więc stawia się tu i ówdzie krzyże pamiątkowe ludziom opornym wobec tego rodzaju zamierzeń.

Powstanie wandejskie środkami namacalnymi nawoływało właściwie do powrotu na drogę, o której jakże łatwo pisać, lecz z której jakże trudno nie zboczyć. Po prostu na drogę trzeźwości.

Fakty zdają się świadczyć, że Bonaparte, wielki realista, skorzystał z lekcji powstania.

Cesarz niezbyt ufał Wandei. Czynn timer przyjął jej odbudowie, lecz kazał również mościć nowe drogi, ułatwiające przemarsze wojsk regularnych. Przygarnął i obsypał łaskami posłusznych mu i potrzebnych terrorystów i królobójców, ale świadczył honory również byłym powstańcom. — Zwyciężaliście takich, co bijali wszystkich innych — mawiał im. Jedną tylko kategorię ludzi szczerze darzył obelgami. Tych mianowicie, co w czasie zmagień o sprawy zasadnicze zachowywali neutralność.

VII

Miałem już w kieszeni bilet lotniczy, gdy kupiony w kiosku nad-Sekwaną numer “Le Figaro” sprawił mi dużą niespodziankę. Było to 7 czerwca 1967 roku, więc pierwszą stronę gazety szczelnie wypełniały wiadomości z Bliskiego Wschodu. Za to na drugiej, u samej góry, widniał spory artykuł p. Jana Jakuba Leblond zatytułowany następująco: *Trois villages du Bocage, Tiffauges. La Brufflère et Torfou, vivent à l’heure de l’histoire. Ils s’apprêtent à reconstituer l’une des plus grandes batailles de la guerre de Vendée.*

Nie będę taić, że przysiadłszy na ławce pod platanem najpierw zapoznałem się z pracą p. Leblond, depesze o Suezie, Jerozolimie i postanowieniach Rady Bezpieczeństwa odkładając na porę nieco późniejszą. “Prawdziwy historyk stoi zawsze ponad zamieszkami politycznymi swojej epoki” — ustami cezara Klaudiusza powiedział Robert Graves.

Okazało się, że trzy wymienione w tytule wioski postanowiły “zrekonstruować jeden z epizodów wojny wandejskiej : klęskę pułków republikańskich Klébera pod murami zamku Gilles de Rais”. Jak się już wspominało, batalię tę stoczono 19 września. Dla widowiska obrano jednak datę wcześniejszą: 2 lipca. Cała okolica żyje myślą o nim. Przed kościołem po mszy nie ma rozmów na inny temat, proboszcz zawarł z nauczycielem “święte przymierze” i wspólnie roztrzásają szczegóły przy aperitifie, przedsięwzięciu patronują trzej merowie, przy czym tylko jeden z nich, p. de Brèteche, jest hrabią. Dwaj pozostali — pp. Bernard Bourgoïn i Paweł Bonhomme — nie noszą tytułów arystokratycznych. Działają solidarnie, głosząc wraz z pozostałymi obywatelami : “To jest dobra rzecz. Nie chcemy osądzać, pragniemy uznać zasłużony heroizm obu obozów”.

Rusznikarze, krawcy, tokarze i inni rzemieślnicy mają ręce pełne roboty. Spośród ośmiu szykowanych dział dwie sztuki wypożyczone w Nantes są autentyczne, pozostałe będą z drewna, lecz dzięki nowoczesnej pirotechnice posłużą sprawnie. P. Sergiusz Danot, specjalista filmowy, zajmuje się scenariuszem i dźwiękiem. Ma studio w La Feuille koło Clisson (spalonego illo tempore przez Westermanna). Troska o autentyzm posunięta została bardzo daleko: postać Franciszka Atanazego de Charette de la Contrie odtworzy jego potomek, p. de Sorbay.

Co do innych aktorów widowiska “wszyscy, starzy i młodzi, są ochotnikami — stwierdzają trzej merowie — lecz przebieg wypadków znają dziś lepiej niż szperacze historyczni”.

Ochotniczy udział w przedstawieniu oznaczać też musi swobodę wyboru roli. Ten

właśnie, z pozoru drobny, problemacik wydaje się dość interesujący. Tradycje “armii katolickiej i królewskiej” zakotwiczyły się tego w Wandei, która wiernie służy trójkolorowemu sztandarowi — z niej przecież, z jednej i tej samej wioski pochodzili Jerzy Clemenceau i marszałek Jan de Lattre de Tassigny, pluton wandejskiego pułku spoczywa w Tranchée des Baionettes pod Verdun — lecz jest bardzo rzymska, podczas wyborów oddaje większość głosów stronnictwom prawicy. I oto młodzi Wandejczycy mają dobrowolnie wybrać barwę, w której wystąpią.

Artykuł p. Leblond wyjaśnia i tę sprawę. Pewna “kokieteria” nie pozostała bez wpływu na decyzje. W grę wchodził wzgląd na piękno mundurów... Sto kilkadziesiąt lat temu pułki republikańskie chadzały w łachmanach, ale przepisowe ich stroje błyszczały błękitem, wyłogami, szamerunkami, nawet szeregowiec miał frędzlaste naramienniki. Wiedza o tym łagodzi, jak widać, uprzedzenia natury politycznej, “moguntczycy” A.D. 1967 nie ulegną w swych wioskach ostracyzmowi. Temat przedstawienia upatrzono sobie jednak w bitwie bardzo zaszczytnej dla tej strony, co przegrała wojnę.

Nie rozpaczałem, że nie będzie mi dane oglądać widowiska pod Torfou. Było trochę tak jak z brakiem zainteresowania dla filmowych wersji powieści historycznych. Ma się własne plastyczne wyobrażenie zarówno *Nędzników*, jak *Wojny i pokoju* i przykro raczej rozstawać się z nim. Podejrzewam nawet, że u zajmującego się przeszłością literata pasja tworzenia własnych wyobrażeń rozstrzyga o samym zamiłowaniu do historii. Słowo pisane, podobnie jak słuchowisko radiowe, ma to do siebie, że zniewala do pracy fantazję odbiorcy. Istnieje tyle dokładnie wizji *Salammb*

, ilu było czytelników tego utworu Flauberta, zmuszonych przez autora do indywidualnych wysiłków. Film i telewizja chcą całkowicie sobie podporządkować odbiorcę, usypiają jego wzrokową wyobraźnię. Nie jestem wrogiem tych wynalazków. Są jednak dziedziny, w których pragnę pozostać sam na sam — o ile to w ogóle możliwe — z tematem i jego wszechstronną treścią.

Zapowiedź wystawienia w Wandei “żywych obrazów”, sympatyczny ton artykułu i wynurzeń organizatorów pasowały do tego, co dane mi było poznać przy innej okazji. Publiczność tutejsza zdaje się odznaczać szczególnym sposobem reagowania na tego rodzaju widowiska.

Wolno mi przypuszczać, że Niebiosa wynagrodziły mnie za właściwy sposób zachowania się. Na cmentarzu Pere-Lachaise zapragnąłem obejrzeć miejsca wiecznego spoczynku marszałków Napoleońskich, wiedząc zaś coś niecoś o francuskich obyczajach, obszedłem sobie wkoło grobowiec Franciszka Lefebvre. Nie omyliłem się, na odwrotnej stronie monumentu widniała tablica poświęcona pamięci czcigodnej małżonki zdobywcy Gdańska.

Wkrótce potem afisze doniosły, że na dziedzińcu Pałacu Inwalidów wystawiona zostanie *Madame Sans-Gêne* Wiktoryna Sardou.

Szeregi krzeseł wypełniły cały ogromny podwórzec, lecz nie było ani jednego wolnego miejsca. Zaczęło się od pokazania bitwy sankiulotów z gwardią szwajcarską, na początku trzeciego aktu od bramy wjazdowej ruszyła środkowym przejściem ku scenie baśniowa kawalkada. Otwierał ją Napoleon na swym siwym “Marengo”, za nim — również konno — dobry pluton wyłoczonych marszałków i generałów, dalej orkiestra fantastycznie kolorowych huzarów gwardii. — Publiczność przyjemnie oszalała, popadła w radosną bez troskę. Wyraźnie w niej zagrały przychylne emocje. Ci, co mieli miejsca przy samym przejściu, widząc dobrze, zapragnęli jeszcze lepiej, powskakiwali więc na krzesła. Chóralne okrzyki pokrzywdzonych — *assis! assis!* — zmieszane z dźwiękami gwardyjskich waltorni i puzonów, utworzyły chorał wesoły i znamienny.

W całym świetnym przedstawieniu najciekawsze było zachowanie się widzów w pomienionej chwili. Nie popełniłem chyba błędu przewidując, że podobna atmosfera otoczy widowisko pod Torfou. Istotę jej stanowić się zdaje zasadnicza zyczliwość wobec historii jako takiej, wobec całej przeszłości narodu, postawa nie wykluczająca wcale skrajnej nawet różnicy ocen, poglądów.

Każdemu z nas służyć powinna cała paleta barw. Wolno z niej wybierać — jedne tendencje, wydarzenia czy postacie obdarzać różem anielskim, inne czernić. Kto się

zdecyduje maczać pędzel w kolorach zbyt przepisowych czy pryncypialnych, uczyni to na własne autorskie ryzyko. Nie wolno tylko zamazywać wapnem, aby w ogóle nie było widać, skazywać na zapomnienie. Dyktatorskie rządzenie wiedzą o przeszłości zalicza się do znanych i w gorzej niż smutny sposób skutecznych środków kierowania teraźniejszością.

Jeśli chodzi o szacunek dla prawdy historycznej, Francja dzisiejsza posunęła się imponująco daleko, skoro koło Saint-Privat w Lotaryngii nadal stoi ciężki blok kamienny z niemieckim napisem ku czci zwycięstwa w sierpniu 1870 roku odniesionego przez gwardię pruską nad korpusem marszałka Canrobert. Dzięki temu, że ocalał, monument ten gruntownie zmienił przeznaczenie i charakter. Przestał czcić dawną wojnę, stał się pomnikiem kulturalnego postępowania gospodarzy kraju. W 1791 roku Konstytuanta specjalnym dekretem udostępniła wszystkim Luwr i zawarte w nim skarby sztuki. W dwa lata później, gdy uznano, że reformy nie wystarczają, że świat trzeba radykalnie przerobić, Konwencja nakazała zniszczenie grobów królewskich w Saint-Denis. Świętość Ancien Régime'u, ampułkę do olei koronacyjnych, rozbito w Reims publicznie.

Na szczęście i w tej mierze obłądy trwały we Francji krótko. Bonaparte zabrał do Egiptu spory zastęp specjalistów, by badali pamiątki tyranii faraonów. Od roku 1808 trwa nader skuteczna forma opieki nad zabytkami, polegająca na tym, że rząd kupuje cenne dla kultury gmachy na własność państwa.

Dzisiaj organizatorzy wandejskiego widowiska twierdzą, że nie zamierzają osądzać, pragną jedynie uczcić heroizm obydwu stron, poczytna gazeta rozgłasza ten pogląd. Oryginalne stanowisko, jeśli się raz jeszcze przypomni i zważy, że pod Torfou Francuzi z nadzwyczajnym zapalem mordowali Francuzów. W początkowej fazie bitwy Kléber brał już górę, lecz cofających się Wandejczyków zapędziły z powrotem do walki kobiety — matki, żony i córki.

Pobieżne zapoznanie się z literaturą przedmiotu przekona od razu, że różnice poglądów nadal rysują się ostro. Żyją obok siebie i jednocześnie szerzą owe zapatrywania zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy “armii katolickiej i królewskiej”. Urzędowi szefowie trzech gmin postanawiają mimo to wydać pięćdziesiąt tysięcy nowych franków na organizację przedstawienia, którego widzowie rozjadą się do domów nie otrzymawszy żadnych urzędowych pouczeń. Spektakl nie powie im przecież, kto mianowicie — “biali” czy “błękitni” — zajmował stanowisko prawidłowe, reprezentował pozycje jedynie słuszne. Nikt nie dokona prewencyjnej kontroli umysłowych podniet, nikt nie truchleje przed możliwością zarażenia” błędem!

Wiedza o historii, szacunek i sentyment dla niej zaliczają się do naczelných

czynników spajających narody. Rolę tę spełniają jednak tylko wtedy, gdy nikt nie próbuje amputować wiedzy, tłumić jednych umiłowań, by sztucznie hodować inne. Jeśli się nie spełnia tych warunków, sprawa fałszowanej historii dzieli ludzi, wytwarza między nimi przepaście. W niczym nie zagrozi republice francuskiej widok białego sztandaru tryumfującego nad trójkolorowym pod Torfou. Szkody nieopisane wynikłyby natomiast z praktyki publikowania odpowiednio spreparowanych dokumentów historycznych, pamiętników poskracanych o partie... uznane za politycznie kłopotliwe.

Za przystępną cenę kilku franków stałem się w Paryżu właścicielem świeżo wydanej książki Stéphane Cordier o Maracie, gloryfikującej działacza, który “bolszewizuje myśl filozofów XVIII wieku, poświęca wszystko sprawie ludu”. Jednocześnie wszedłem w posiadanie słynnego *Człowieka zbuntowanego* Alberta Camus. Autor powtarza opinię Juliusza Michelet, że Marat “to małpa udająca Rousseau”. Nie doznawałem żadnych trudności w zaopatrywaniu się w dzieła jeszcze ostrzej osądzające redaktora “L’Ami du Peuple”. Wiele nieprzyjemnych rzeczy przeczytać również można o Dantonie, którego pomnik stoi przecież w Paryżu.

Mój Boże! Oto mam w ręku ładnie wydany albumik *Les murs ont la parole*, uwieczniający napisy, które w maju 1968 roku ukazywały się na ścianach wyższych uczelni francuskich. Szukam strony 70 i odczytuję płomienny apel jakiegoś studenta Sorbony:

“W chwili gdy Państwo francuskie jest wstrząsane rewoltą jego młodzieży, narodowości uciśnione przez to Państwo mają poważną okazję do zrzucenia jarzma: Bretończycy, Alzacczycy, Katalończycy, Flamandowie, Baskowie, Antylczycy, Korsykanie, Okcytanie, Reuniończycy, a w szczególności młodzież tych uciśnionych ludów, mogą sami się wyzwalać dopomoc w tym samym czasie do oswobodzenia młodzieży francuskiej”. Rok już przeminął od daty skomponowania tego napisu, a republika francuska — Jedna i niepodzielna”! — jakoś nie upadła i nic zgoła takiego wydarzenia nie zapowiada.

Na stronie 77 znajduje się refleksja godna uwagi:

“W każdym z nas drzemie policjant, trzeba go zabić”.

Nie biorę tego pouczenia dosłownie, bo. któż by pilnował porządku na skrzyżowaniach szos w niedzielne wieczory, kiedy to śpieszący w pielesze domowe obywatele gnają jak wariaci i przyczyniają strat większych niż niejedna bitwa wandejska. Czas jednak najwyższy na powszechny pogrzeb “Policji Myśli”, której działalność przeszkadza ludziom rozumieć się nawzajem i szanować.

Długo trwało, zanim Francja uznała historię za wartość samoistną, nadrzędną nawet. Pouczają o tym dziwne dzieje nazwy miasta będącego już od dawna stolicą departamentu

Wandei. W czasach wojny domowej rolę tę pełniło Fontenay-le-Comte, później siedziba administracji lokalnej przeniesiona została znacznie bardziej na północny zachód, do specjalnie w tym celu zbudowanego ośrodka.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej, gdy architekci i urbaniści zabrali się do odbudowy zrównanych z ziemią miast, należało ich skierowywać na studia do stolicy wandejskiej, aby mieli okazję do porozmyślenia nad niebezpieczeństwami, których należało unikać. Plac tam ogromny, prostokątny, nadający się w sam raz na przeglądy i defilady wojska. Pośrodku wznosi się wysoki pomnik cesarza Napoleona I, odrobiony tak starannie, że można by policzyć włosy w końskiej grzywie, fałdy na pantalonach jeźdźca. Od rynku wybiegają szerokie i proste ulice.

Regularności i zimnego rozmysłu wiele tutaj, duszy brak. Dziwnie pomyśleć, że to miasto stoi w tym samym kraju, który obfituje w takie organicznie wyrosłe w przeciągu wieków cuda miejskie, jak Sisteron, Dinan, Parthenay, stara dzielnica Rouen, Honfleur, Aiguës-mortes i tyle innych. I w urbanistyce zatem plan jest rzeczą bardzo cenną, pod warunkiem że nie stanie się bożyszczem. Minimum chociażby nieregularności i sobiepaństwa jest człowiekowi koniecznie potrzebne.

Nową stolicę dla Wandejczyków kazał wybudować Napoleon I. Osobiście sprawdzał wykonanie, besztal i degradował naczelnych architektów, którzy z uwagi na brak materiałów i innych środków doznawali znacznych trudności w swym dziele. Aby nadać pożądaną cechę nowej epoce w dziejach Wandei, ostatecznie pogodzić obdarowaną prowincję ze świeżo stworzonym ustrojem politycznym, nadał miastu nazwę — Napoleon-Vendée. W kilka lat później genialny “niewolnik prawa dedukcji” przegrał cykl wojen, radośnie rozpoczęty przez innych Francuzów wtedy, gdy Napoleon Bonaparte był oficerem niskiego stopnia. Przybył Ludwik XVIII, przeszkodził Prusakom zniszczyć paryski most lena, lecz inne pamiątki niewłaściwej przeszłości skazane zostały na usunięcie. Młode miasto zaczęło się więc nazywać Vendée-Bourbon. Kiedy jednak pochwycił władzę Napoleon III, dokonała się ponowna metamorfoza z kategorii tych, co w opinii najszerszego ogółu uchodzą za zastrzeżone dla Europy Wschodniej. Tryumfalnie powróciło miano Napoleon-Vendée.

Dopiero III Republika zdobyła się na to, co od samego początku było zgodne ze zdrowym rozsądkiem, lecz nie uznawane. Stolica Wandei nazywa się już na stałe Roche-sur-Yon, tak samo jak osiedle i zamek, które tu istniały od niepamiętnych czasów, zniszczone zaś zostały przez jedną z “kolumn piekielnych”. Po tragicznym kontredansie pobożnych życzeń doraźnych władców państwa pogodzono się, świadcząc szacunek... historii.

Sporo czasu upłynęło, zanim opamiętali się politycy najbardziej kulturalnego kraju na kontynencie. Okoliczność skłaniająca do wyrozumiałości wobec innych narodów oraz do optymizmu raczej umiarkowanego.

Pisałem przed chwilą o'uznaniu historii za wartość samoistną, nadrzędną. Jest to sformułowanie tak bardzo wieloznaczne i niebezpieczne nawet, że Manowczo powinienem się wytłumaczyć.

Terminowi "historia" świadczy się ostatnio szczególny szacunek, niektórzy zaczęli go nawet pisać z dużej litery. Kto tylko sądzi, że wolno mu ugniatać żyjące pokolenie jak plastelinę, ten występuje oczywiście w roli mandatariusza Historii.

Należy odróżniać wiedzę od wizji. Ta pierwsza z reguły bywa ułomna, nieraz wprost kaleka, lecz nadaje się do udoskonalania, może podlegać poprawkom. Nie sposób chyba przeczyć, że każda wiedza o społeczeństwie nosi charakter historyczny. Najbardziej nowoczesne zestawienie statystyczne czy też badanie socjologiczne przedstawia nam obraz wjajlepszym razie przedwczorajszy. Zarysowane w nim fakty musiały ulec już pewnym zmianom, bo samo opracowanie zdobytych przez badaczy wiadomości pochłonęło krótszy lub dłuższy czas, który wszystko zmienia. Nie mogę wiedzieć, ilu mieszkańców liczy w tej chwili mój kraj. Dostępne mi dane statystyczne odnoszą się do poprzedniego roku.

Kto twierdzi, że można znać terażniejszość, ten dopuszcza się logicznego błędu, w praktyce nieuniknionego jednak i utrzymanego w granicach przyzwoitości. Nie da się tego powiedzieć o znawcach nieuchronnie nastąpić mających zjawisk przyszłych.

Optymistyczny wiek XIX obfitował w diagnostów oraz w entuzjastycznych wyznawców ich doktryn. Odwiedzając Paryż i Berlin mogli oni spotykać na ulicach tych miast dwóch skromnych, brodatych, dość tuzinkowo wyglądających panów, poświęcających siły czemuś zupełnie odmiennemu od wieszczona. Naprawdę trudno było wtedy odgadnąć w Ludwiku Pasteur i Robercie Kochu wywoływaczy kwestii najbardziej zasadniczej dla przyszłych dziejów globu. Rozwój bakteriologii, mikrobiologii oraz immunologii spowodował skutki olbrzymie, już znane, lecz w dalszym ciągu nieobliczalne. To doświadczenie, wcale zresztą nie odosobnione, powinno było mitygująco wpłynąć na odkrywców praw rzekomo rządzących losami ludzkości, pouczyć o stale istniejącej możliwości zaskoczeń. Takich na przykład, jak zupełnie dziś racjonalny pogląd, że wywodząca się od odkryć Pasteura i Kocha problematyka też nie jest niczym absolutnym i ostatecznym, skoro współczesna technika pozwala na bardzo wydajne zredukowanie zaludnienia ziemi, i to w czasie nader krótkim.

Ta ostatnia perspektywa nie mieściła się w żadnej z dotychczasowych wizji, które

trzeba stanowczo odróżniać od wiedzy. Terminu “historia” wolno nam używać tylko jako rzeczownika pospolitego, pisanego oczywiście z małej litery i odnoszącego się do faktów dokonanych. Duże „H” na początku tego słowa powinno działać jak sygnał ostrzegawczy. Zapowiada bowiem czynność ogromnie podobną do wystawiania weksli o zupełnie wątpliwym pokryciu, czyli do postępuku przewidzianego przez wszystkie kodeksy karne krajów cywilizowanych. Ponieważ jednak kodeksy owe odnoszą się do osób prywatnych, nie ma w nich wzmianki o takiej ewentualności, że wystawca weksła najmuje zaraz znaczne siły policyjne, a to w celu pilnowania, by wierzyciele nie tylko nie upominali się o zapłatę, lecz sami utrzymywali wspomnianych policjantów.

Byliśmy niedawno świadkami energicznie prowadzonej akcji, mającej na celu uregulowanie dziejów kontynentu na najbliższe tysiąclecie—według określonej wizji. Próba trwała przez lat trzynaście tylko — na szczęście! — lecz kosztowała kilkadziesiąt milionów istnień ludzkich.

Nie tylko wiedza o społeczeństwie, lecz i cały nasz dorobek nosi charakter historyczny. Po ziemsku rzeczy biorąc, to historia—ta pospolita, więc rzeczywista—stworzyła etykę i moralność, pojęcie ojczyzny i wyobrażenie o ludzkości. Jest to oczywiście dorobek od doskonałości niezmiernie odległy, co poznać łatwo nie tyle przez mierzenie go łokciem ideologii, ile po tym niespornym fakcie, że znakomitej większości ludzi niezbyt wygodnie, nawet zupełnie źle żyje się wciąż na świecie. Jediną niefałszowaną koniecznością historyczną jest nieustanna naprawa stanu posiadania. Reformowanie nie może się nigdy skończyć, ono stanowi istotę tych programów, którym warto służyć. Polegają one w gruncie rzeczy na dążeniu do prawdziwego zmniejszania różnic między ludźmi — na wszystkich bez wyjątku polach.

W oczywisty sposób niezgodna z tym założeniem jest taka sytuacja, w której nieliczna grupa osób w imię najszlachetniejszych chociażby wizji tworzy i skutecznie zagarnia na swój użytek przywilej rozkazywania sądom — pozostałe miliony ludzi tracą prawo do obrony. Należy rozstać się z przyjemnym złudzeniem, że nierówności majątkowe lub rozmaity stosunek do środków produkcji są jedynym źródłem niesprawiedliwości.

Wiedza o historii przynosi niekiedy wnioski nadające się do teoretycznego porównania z odkryciami przyrodniczymi. Prace badawcze Pasteura i Kocha dały między innymi ten skutek praktyczny, że chirurgiem, który by zaniedbał umycia dłoni i wydezynfekowania narzędzi przed operacją, zajmie się prokurator. Nic niestety nie zabezpiecza ogółu przed działaczami politycznymi odrzucającymi zasadę podziału władz i nieustannej kontroli społecznej nad nimi. Tymczasem zaś znacznie starsze od Monteskiusza

doświadczenie historii pozwala stwierdzić, że skoncentrowana i pozbawiona hamulca wszechwładza skutkuje równie błogo jak wypuszczone na swobodę zarazki tężca. Może nawet sprawniej, skoro w XX stuleciu przyszło z musu do stworzenia pojęcia “zbrodni przeciw ludzkości”.

Książka ta mówiła o takich, co zbytnio miłując własne wizje zdradzili program reformatorski, oraz o takich, co napiętnowani jako wstecznicy i zbrodniarze byli mu właściwie wierni.